CENA NINIEJSZEGO NUMERU 1 ZŁ. 40 GR.

ROK XXV **ŚWIAT** NR 45

WARSZAWA, DNIA 8-go LISTOPADA 1930 ROKU

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Pod kierownictwem naczelnem STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO

CZARNA WIADOMOŚĆ

Wyczytałem przed kilku dniami w jednej gazecie, że w Warszawie zostanie zamknięta jedna z największych księgarń, księgarnia „Ossolineum". Uczyniło mi się cokolwiek słabo na sercu i mętnie w rozumie. Jak to bowiem być może? „Ossolineum" — to niebyle co: to wspaniała, dostojna instytucja, twierdza potężna książki polskiej, a jej księgarska reprezentacja w Warszawie to sama solidność ze znakomitym fachowcem, p. Goźlińskim na czele. Wydawali książki najwyższej klasy. Świetnie prowadzili księgarnię. Sklep mają doskonale urządzony. I oto jest bilans: trzeba zamknąć księgarnię. Wierzyć mi się nie chce, aby to prawda była; jeżeli bowiem taka murowana księgarnia, o dostojność zakładu narodowego imienia Ossolińskich oparta, w gruzy się wali, to co to będzie dalej? Czy na miejscu jednego z najszanowniejszych sklepów, w którym sprzedawano wielkie myśli i wielkie wzruszenia, zostanie otwarta nowa kawiarnia dla niebieskich ptaków, kombinatorów i malowanych imitacji kobiet?

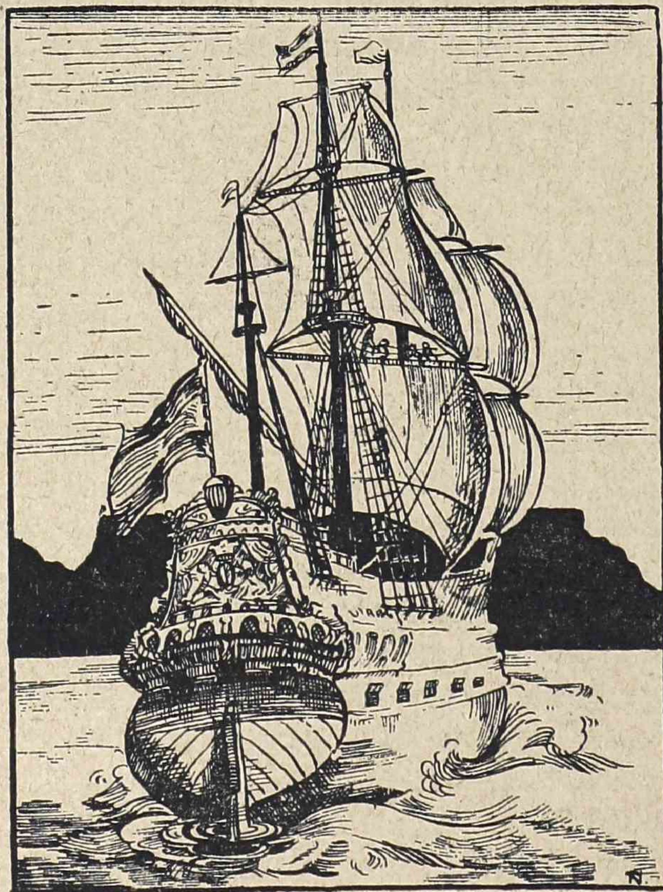
A onegdaj wyczytałem w innej gazecie takie cyfrowe zestawienie: w dorocznym salonie Tow. przyjaciół sztuk pięknych we Lwowie, oddanym na ten rok sztuce krakowskiej, wystawiono 322 obrazów i rzeźb, ocenionych na sumę około sześciuset tysięcy złotych. Axentowicz, Czajkowski, Dunikowski, Filipkiewicz, Jarocki, Kamocki, Laszczka, Kędzierski, Mehoffer, Pautsch, Puget, Sichulski, Weiss. Nazwiskami temi możnaby przystroić najwspanialsze na świecie muzeum. Co nazwisko, to może być arcydzieło. Z tego zbioru najlepszych w Polsce obrazów sprzedano w ciągu dwumiesięcznego trwania wystawy 9, słownie: dziewięć obrazów za sumę 5800 złotych. Jeden podpis Kędzierskiego więcej wart. Trzynastu wspaniałych twórców ma żyć przez cały boży rok za 5800 złotych, a na każdego wypadnie około 450 złotych. Ponieważ można żywić różową nadzieję, że gdzieindziej uda im się taki sam złoty zrobić interes, każdy z tych znakomitych ludzi kupi sobie pałac i dolarówkę.

Już kiedyś tak było, że gdy Madonnę renesansowego mistrza niesiono w tryumfie do kościoła, całe miasto szło w orszaku, w którym brakło jednego tylko człowieka: właśnie onego mistrza, albowiem nie miał pludrów i opończy. Mogłoby się to zdarzyć i we Lwowie na takiej artystycznej fecie. Boże mój! Jak strasznie biedne musi być to miasto, jeśli zdołało zebrać niecałych sześć tysięcy na kupno najpiękniejszych obrazów! Lwów bowiem, jak i Kraków, był zawsze i jest na obrazy zachłanny i to właśnie na takie obrazy. W Warszawie w niewielu domach wiszą piękne obrazy, przeważnie zaś na widok tego, co na ścianie wisi, radby się człowiek powiesił obok, aby tylko nie patrzeć na różne kolorowe okropności, we Lwowie jednak było ambicją każdego inteligentnego domu, aby mieć jakąś malarską wspaniałość. Są we Lwowie kupcy, sprzedający koszule i buty, co mają całe zbiory. Był tam restaurator, szynkujący piwo, co zebrał niepo-

spolitą galerję, a potem ją z wielkiem serca wzruszeniem darował ukochanemu miastu. Każdy lekarz miał małą galerję, każdy inteligent na jeden choć zdobył się obraz, ale musiał to być czy Dębicki, czy Pautsch, czy Jarocki, czy Sichulski, czy jeden z tych powyżej wymienionych, którym się teraz udało sprzedać 9 obrazów za sześć tysięcy złotych. Najserdeczniej chyba płaczą tam, w samym Lwowie, że nie mogli kupić wszystkich trzystu obrazów.

Nietylko jednak we Lwowie dzieją się takie nieszczęścia; ktoś przypadkiem ogłosił cyfry, nad któremi możemy rozdzierać obleczenie i cicho a rzewnie popłakiwać, dlatego o tem wiemy. Gdyby sporządzić bilans ogólny, okazałoby się, że jakiś mór padł w całej Polsce na wszystko z ducha poczęte: na książkę, na obraz, na rzeźbę. Nikt tego nie potrzebuje, nikt za tem nie tęskni, nikt nad tem nie płacze. O niedoli książki wszyscy wiemy, nie chce mi się przeto po raz setny gorzkich zawodzić żalów; zdaje mi się jednak, że mimo wszystkiego, książce lepiej się powodzi, niż obrazowi i rzeźbie. Książki jeszcze ten i ów drukuje, a czasem się znajdzie taki, co ją kupi. Zamało tego, aby żyć, zawiele, aby umrzeć odrazu i bez testamentu; ale obraz i rzeźba, nadobne małżeństwo, znalazło się u kresu rozpaczy. Nie znam, oczywiście, dokładnie domowych spraw malarskich, sądząc jednak nawet pobieżnie, tak tylko, „na oko", — najczarniejsza niedola stała się udziałem malarskiej rzeszy. A jeśli najwięksi takie, jak we Lwowie, robią kokosy, cóż się, u Boga Ojca, dziać musi u tych chociaż mniejszych, lecz równie szlachetnych, zawsze jednak artystów szanownych! Niech mi przebaczą Apellesowie najmilsi, że niepowołany w ich włażę dziedziny, ale to przecież tak, jakgdyby brat innego fachu nad rodzonym żalił się bratem. Przeczytałem tę lwowską wiadomość i ciemno mi się uczyniło przed oczyma; pomyślałem, że te znakomitości, przeważnie profesorowie, dadzą sobie jakoś radę, ale że skomlącym głosem zawyć należy nad tą czarną dolą, co jak ołowiana, posępna, zimowa chmura zbliża się nad rozwichrzone, gorejące głowy tych, co Panu Bogu słońce ukradłszy i roztopiwszy je w kolorach, wybierają się na podbój świata. Nawet malarz, jak fakir w głodach zaprawny, przecież jeść musi. A co będzie jadł? Ramę, czy modela? Na ramy też nie ma, ani na modela. Jeśli trzynaście znakomitości, wśród których jest dziesięciu profesorów, zdołało w mieście, słynnem z entuzjazmu do sztuki, sprzedać aż dziewięć obrazów, to, wedle rachunku prawdopodobieństwa, trzynastu malarzów bez takich brylantowych nazwisk sprzeda jedną - dziewiątą część jednego obrazu w mieście tak mało rwącem się do kupowania obrazów, jak Warszawa, lubującem się we wszelkiem malarskiem mydle i malowanej kiepskiej literaturze. Tem srozszy los czeka onego malarzyka, co — warjat jeden, — własną zechce iść drogą, przeciw wylizanej modzie, kretynicznemu snobizmowi, reklamiarskiej kalkulacji i tej sprytnej sztuce, co się ze sztuką nie — styka, jeśli zechce szaleć i uczciwym być artystą. Na Wybrzeżu Kościuszki lęgnie się cała czereda takich opętańców właśnie, bujnych, śmiałych, rozkochanych w kolorze, którzy by za wszystkie skarby świata nie namalowali ułana, biorącego do niewoli czterdziestu czterech bolszewików, ani Chopina, nad którym stoi jasnokoścista śmierć i kłapie zębami, a Chopin gra jej marsza. Ładnie będziecie wyglądali, robaczki! Lisa, co z uśmiechem na ufryzowanym pysku niesie w zębach wypchaną i bardzo kolorową cyrankę, jeszcze by może jakiś zacny człowiek kupił, ale niebieskiego konia kopnie w brzuch.

To też melancholja wałęsa się po malarskich pracowniach; w wesołych malarskich oczach zaczyna być ciemno, a świat cały w tem spojrzeniu nieco formistycznie się wydaje: z czerwonych i czarnych złożony kółek. Ja wiem, że upartej i



rogatej dumy malarskiej byle co nie złamie, ale głód, to jest taki wróg przemyślny, co się nigdy nie spieszy i gra na zwłokę; dumy nie złamie, ale malarza na nic może połamać. Wiadomo, że malarz jest to indywiduum zawodowo, mocno bezradne i jeśli idzie o sprawy tego świata, nawet czasem mocno głupawe. Zawsze niezłomnie wierzy, że jakoś to będzie i że wreszcie będzie lepiej. Pogląd ten nie zmienił się wśród malarji od czasów Fra Angelica. A tymczasem w mieście Lwowie na 322 obrazy sprzedano 9 i t.d. Otóż nie będzie w tym względzie lepiej, bo dlaczego ma być lepiej? Będzie gorzej. Obrazów nikt nie kupuje, może nawet nie dlatego, że nie ma tak bardzo za co, ale przedewszystkiem dlatego, że nie chce, że tego nie potrzebuje, że za tem nie tęskni. Jeden mówi: kupiłbym obraz, ale obecnie budują tak malutkie mieszkania, że niema gdzie powiesić. Na siedem kolorów tęczy! Stanisławski malował cudy niebywałe w rozmiarze 30 × 40. Są śliczne obrazki takie malutkie, jak szczęście i takie piękne, jak poranek wiosenny. Łże, jak wydra, taki jeden z drugim, który twierdzi, że nie ma ich gdzie wieszać. Na niego samego starczyłoby miejsca, gdyby chciał, rozumnie czyniąc, ozdobić sobą ścianę.

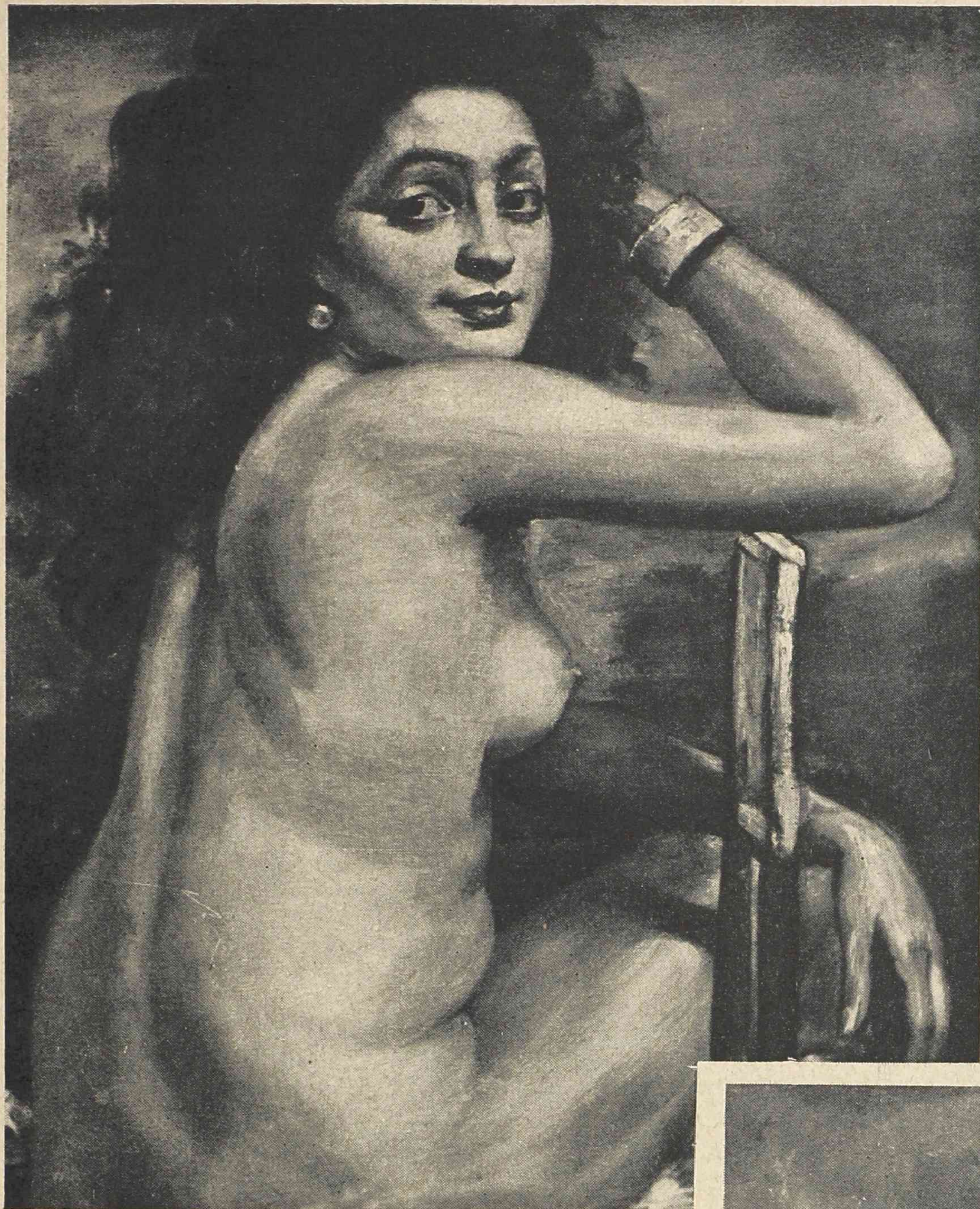
Inny, co drugi, na ciężkie narzeka czasy. Też łże. Nie powiem, aby czasy były złociste, ale gdyby odjąć niewielki procent od obrotu codziennego kawiarń warszawskich, i stu instytucji, fabrykujących doraźną wesołość, starczyłoby tego na kupienie kilku obrazeczków. Kto chce książkę czy obraz kupić, ten te grosze znajdzie. Sęk w tem, że bestja nie chce.

Słyszałem o jednym takim cudownym człowieku, co kupił od wybornego malarza obraz na trzy weksle po sto złotych. Nie mógł za gotówkę, kupił na weksel, nie mógł odrazu, kupił na raty, ale kupił. Taki jednak szlachetny obłąkaniec nie rodzi się często na warszawskim kamieniu i jeden sprawiedliwy nie ocali Aten ginących z braku artykułów tak rafinowanie wymyślnych, jak chleb i mięso. Coś trzeba wymyśleć. Co— ja nie wiem. O tem wiem tylko, że w mieście Lwowie, któreby duszę własną dało za dzieło sztuki, na 322 wystawione obrazy najpierwszych mistrzów sprzedano obrazów 9 — słowami: dziewięć.

S. O. S.!

Kornel Makuszyński

Z WYSTAW PARYSKICH



R. Kramsztyk **Piękna mulatka**
Fot. Londyński



L. Decler **Autoportret**
Fot. Marc Vaux

R. Kramsztyk **Portret pani B.**

L. Decler **Portret pani Costes, żony słynnego lotnika**
Fot. Marc Vaux







JAK W BAJCE

„Za górami, za rzekami, mieszkał możny król, władca potężnego królestwa. Miał umiłowaną córkę, królewnę Joannę. Młody władca innej, dalekiej krainy, zobaczył ją raz i pokochał. Długo czekał, aż danem mu było pojąć królewnę za żonę"...

A jak to było, opowiem.

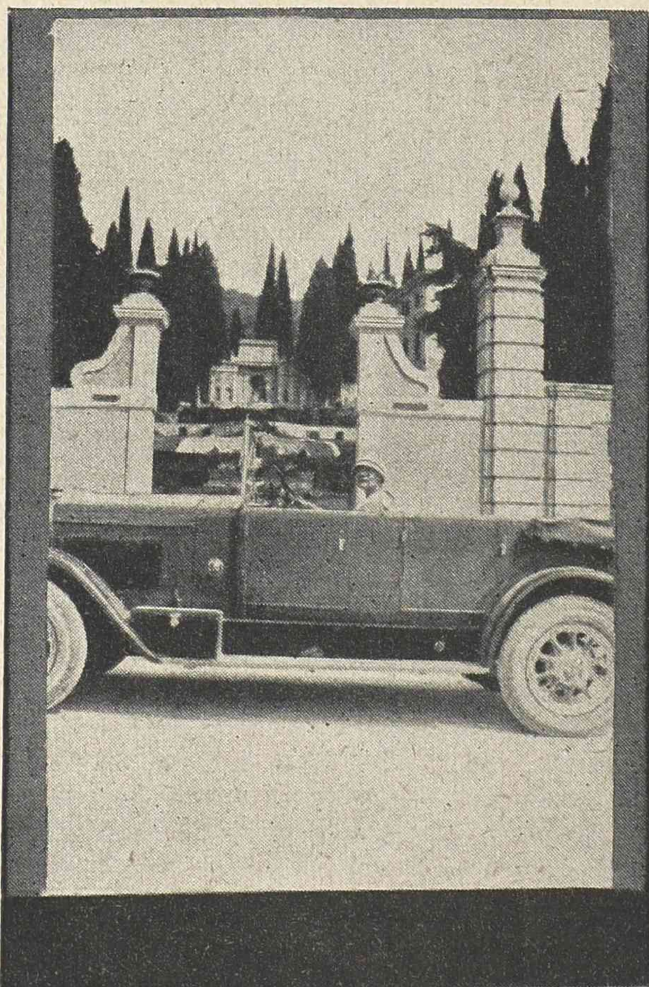
Umbrja.

No tak, wszyscy wiedzą, gdzie to leży na mapie. Perugja, ojczyzna Perugina, Todi, miasto rodzinne Jacopona, Spello, skąd pochodzi Pinturicchio, Foligno, ojczyzna Piermariniego, Gubbio i Deruta, słynne ze swych przecudnych ceramik, — i Assyż, miasto Franciszka, Biedaczyny Bożego.

I wielu zna urok umbryjskiego krajobrazu, pełnego melancholijnej pogody, jakby zawsze zamyślonego o czemś ważnem i dalekiem.

Ale niewielu wie, na czem polega odrębność duszy Umbrji — bo na to trzeba z nią przestawać latami, na to trzeba ją poznać tak głęboko, aby umieć odróżnić ją od duszy innych dzielnic włoskich.

Genua — to ciekawość dalekich przestrzeni, przedsiębiorczość ale i skąpstwo. Piemont — to wytworna kurtuazja i zapamiętała miłość ojczyzny. Medjolan — energja, pracowitość, ale i zimne wyrachowanie. Florencja — dowcip cięty, umiłowanie i znawstwo sztuki, ale strzeż się florentczyka, bo fałszywy. Rzym — to duma nieustępliwa, zmieszana z dobrodusznością. Neapol — to animalność, która rozbraja swą pogodą i nadludzką intuicją. Sycylja — to umiejętność rzucenia płaszcza pod nogi kobiety tak, aby się nie narzucić, to godność i ogień zarazem.



WJAZD DO WILLI CONSTANZI, GDZIE ODBYŁO SIĘ WESELNE ŚNIADANIE KRÓLEWNY JOANNY Z KRÓLEM BORYSEM.

Dusza Umbrji powstała ze stopienia namiętności z mistycyzmem, — stąd jej rozmaitość, jej bogactwo, jej czar.

„Uczucia ludzkie od stworzenia świata są jednakowe, — ale jakże inny rezonans znajdują tam, gdzie człowiek zrobiony jest ze szlachetnego metalu, a jakże inny tam, gdzie ulepili go ze zwykłej, marnie wypalonej gliny" — mówi poetka umbryjska, Maria Luisa Fiumi.

Dzwonią dzwony w Assyżu.

Najpierw poważne, wielkie, z Bazyliki Świętego Franciszka. Potem niżej melodyjne od Świętego Piotra. Potem dalsze, cieńszym głosem, te od Świętej Klary. Potem jeszcze od Duomo, Świętego Rufina. I inne, mniejsze i wielkie — chórem wspaniałym, dzwonią na całą dolinę.

Zapada zmierzch. Mrok szybko ogarnia Umbrję, ciemności spadają raptownie. Z drogi wijącej się pod miastem coraz je słabiej widać, kontury zacierają się i giną. Można puścić wodze fantazji, wyobrazić sobie na miejscu Assyżu jakąś krainę z bajki.

Wtem — ogień jakiś zapalił się wysoko nad miastem. Niedaleko drugi, tam na górze trzeci i dziesiąty, naprzeciwko inne ognie im odpowiadają, — cała Umbrja się pali. Jakby zbudzony ze snu w ciemnościach, odpowiada tym ogniom i Assyż. W jednej niemal chwili tysiące łuczyw zapalają się na odwiecznych murach, na oknach, nad portykami, na bramach i

schodkach kamiennych. W dolinie już płonie kopuła Santa Maria degli Angeli, — potop ognia zalał całą Umbrję! A najjaśniej, jak płonący stos ofiarny, gorzeje sam Assyż.

To dla swej królewny ukochanej płonie Umbrja i Assyż. To dla okazania radości, bo jutro z samego rana powita ją w swych murach, gdzie wejdzie jako królewna Joanna, skąd wyjdzie jako dalekiej Bułgarji królowa.

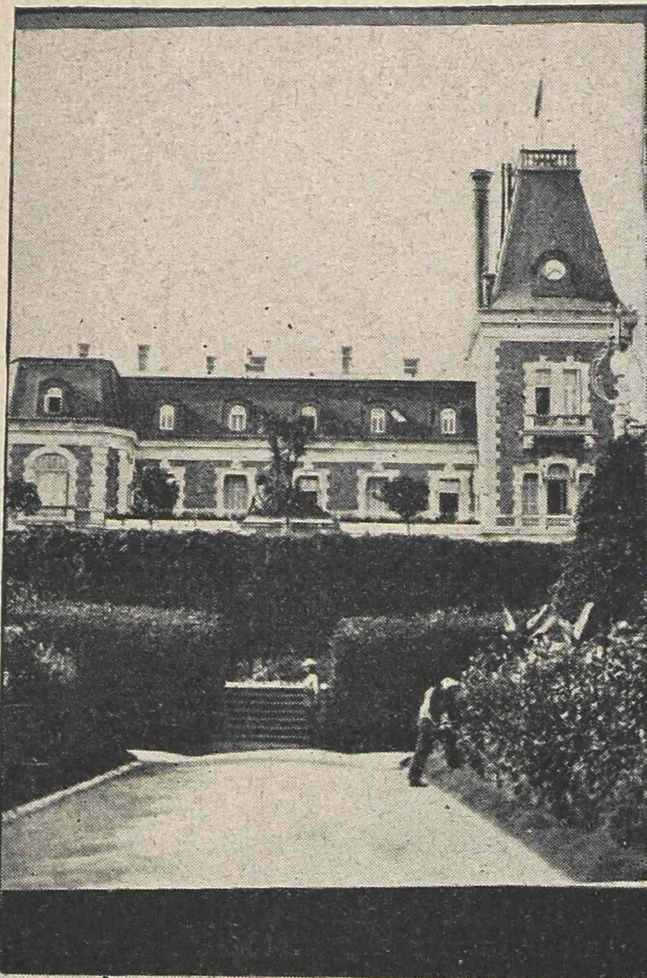
Nie chciała królewna dworskiego przepychu ani bogatych darów, ale wiedzieli mieszkańcy Assyżu, iż milszym jej będzie ten blask ogni tysiącznych, niż najcenniejsza kolja brylantowa.

Więc płoną wszystkie serca Umbrji.

Mglisty poranek. Niebo nie zapowiada pogody. A tak się o odrobinę słońca modliły kobiety Assyżu, aby pożegnanie księżniczki wypadło jaknajpiękniej...

W dolinie, koło stacji, ruch wielki. Samochody zwożą najwyższych dostojników, zjawia się Mussolini, ministrowie. Przybywa smukły, czarnooki następca tronu, książę Humbert, ze złotowłosą małżonką, Marją-Jose Belgijską. Damy dworu, mistrzowie ceremonji, dygnitarze różni.

Zajeżdża pierwszy pociąg królewski: wyskakuje szybko król Wiktor Emanuel, majestatycznie się wychyla dostojna postać królowej Heleny, za nią córki: Joanna i najmłodsza Marja. Joanna już ubrana w cudną szatę ślubną, powłóczystą princesse z białego aksamitu, gładką, obcisłą w górze, uwydatniającą smukłość i gibkość królewny. Rękawy wązkie, długie, suknia pod szyję, — żadnych klejnotów: tylko pęk kwiatów pomarańczowych przypięty z lewej strony spada kaskadą do ziemi. Na głowie ma welon z bezcennej koronki, spadający w długich zwojach, przypięty nad czołem girlandą kwiatów pomarańczowych. Olbrzymi, pięciometrowy tren daje jej młodej postaci wygląd majestatyczny i królewski.


PAŁAC W EUXINOGRADZIE NAD MORZEM CZARNEM, DOKĄD UDAŁA SIĘ PO ŚLUBIE KRÓLEWSKA PARA BUŁGARSKA

W kilka minut potem zajeżdża pociąg drugi, wiozący ex-cara Ferdynanda Bułgarskiego ze świtą. W dziesięć minut później trzeci pociąg, z którego wysiada narzeczony, król Borys Bułgarski, z siostrami.

Wszyscy królowie ubrani są w mundury generalskie, Mussolini ma na sobie galowy strój premjera i kolję Annunziaty na szyi, damy ubrane zgodnie z życzeniem księżniczki w suknie jasne, długie, zapięte pod szyję, bez klejnotów, na głowach białe welony.

Przed Bazyliką Świętego Franciszka. Od trzech godzin gromadzi się tłum — ten wybrany, szczęśliwy, z samych zaproszonych złożony. W ulicach miasta, oknach, bramach mrowie przybyłych. Assyż liczy cztery tysiące mieszkańców: dzisiaj ma ich nagle przeszło 50 tysięcy.

Zajeżdżają samochody królewskie. Król włoski podaje ramię Joannie, król Borys prowadzi królową Helenę, a dalej dziesiątki głów koronowanych, z rodziny Sabaudzkiej, Koburg Gotha i Heskiej, oraz najwybitniejsi dygnitarze państwowi. Górna Bazylika Świętego Franciszka na życzenie księżniczki Joanny nie uległa żadnym zmianom z okazji uroczystości jej ślubu. Zaniechano — i słusznie — wszelkich ozdób tapicerskich tam, gdzie z murów świątyni patrzą nieśmiertelne freski szkoły Giotta i Cavalliniego. Tylko kamienną podłogę pokrywają wspaniałe dworskie kobierce, a na ołtarzu palą się świece w sześciu srebrnych świecznikach i setki białych lilji otwiera pachnące kielichy.

Joanna i Borys uklękli przed ołtarzem, na przygotowanych klęcznikach, wysłanych purpurowym aksamitem. Ceremonja ślubu odbywa się szybko. Franciszkanin, Ojciec Risso, zadaje po włosku kolejno pytanie młodemu królowi, potem księżniczce. Słychać dwa razy „Si" — pierwsze donośne, męskie, wyraźne, drugie cichsze, wzruszone, nieśmiałe.

Wracają od ołtarza. Trzysta małych dziewczynek z Assyżu, wszystkie biało ubrane, rzucają im pod nogi płatki białych róż.

Przeszli orszakiem wspaniałym przez zielony plac przed Bazyliką. Długi tren królewskiej sukni niesie dwu wysokich dostojników dworskich. Dwaj panowie, godni i dostojni, ale tacy prozaiczni w tej bajce! Wiatr trochę im przeszkadza, nie umieją sobie poradzić z temi kłopotliwemi zwojami białej miękkiej tkaniny, — trzymają ją niezgrabnie, nieporadnie.

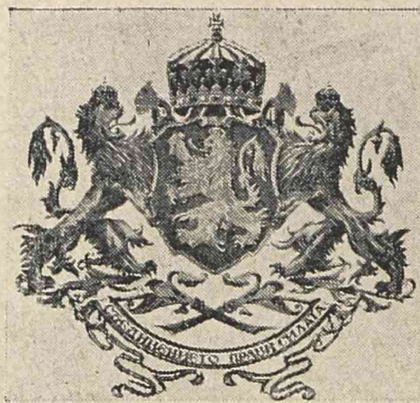
Zeszli do dolnego kościoła. Wita ich dźwięk klasztornego chóru. Mrok. Palą się tylko lampki oliwne. Śpiew zakonników. Freski mistrzów trecenta. Podobnego nastroju niema w żadnym kościele we Włoszech.

W zakrystji, pełnej skarbów sztuki i pamiątek po Świętym Franciszku, następuje podpisanie aktu ślubnego. Potem młoda królowa przyklęka przed grobowcem swej antenatki, infantki Marji Sabaudzkiej, i schodzi z królem Borysem do krypty podziemnej, gdzie w nagiej skale spoczywają zwłoki Biedaczyny Bożego. Jemu oddaje pod opiekę swe losy.

Potem w Palazzo Comunale podpisanie aktu cywilnego. Sala tonie w kwiatach. Dwa tysiące białych goździków, tysiąc białych róż ją przystraja. Królowa Joanna przyjmuje dary Assyżu, — długi obrus haftowany przez sześćdziesiąt dziewcząt dniem i nocą. Chyba to nie dziewczęta ale jakieś wróżki pracowały dla swojej księżniczki?

Villa Constanzi. To już zupełnie coś z bajki. Pałacyk z osiemnastego wieku, zbudowany dla księżnej Pamphili del Grillo, i ogród według planów architekta sprowadzonego z Wersalu. Otaczają ogród i pałac kilkusetletnie cyprysy, tak piękne, iż tylko z willą Falconieri porównać je można. Biały pałacyk, jak cudne gniazdo miłości, zazdrośnie strzegą te czarne wysmukłe szeregi drzew.

Z pośród dziesięciu zgłoszonych pałaców umbryjskich król włoski tę posiadłość wybrał na przyjęcie, jakiem po ślubie księżniczki Joanny podejmował trzysta osób zaproszonych. Stoły rozstawione były w wielkiej krytej galerji dla rodziny królewskiej, zaś w innych salach pałacu dla wszystkich pozostałych gości. Ukryta orkiestra wykonała przystosowane do stylu otoczenia utwory Boccheriniego i Vivaldiego, sale tonęły w kwiatach.



Herb Bułgarji

A potem młoda królowa usunęła się do przygotowanych dla niej salonów, zdjęła powłóczystą szatę, włożyła kostjum podróżny, pożegnała zebranych gości i rodzinę i wsparta na ramieniu króla Borysa, wsiadła do samochodu.

I odjechała daleko.

Tak było w rzeczywistości. Ale w bajce było inaczej: królowa nie odjechała jeszcze, — lecz została w tym zaczarowanym parku, i wieczorem spaceruje ze swym królem między czarnemi cyprysami, nad któremi zawisł cieniutki sierp księżyca, i patrzy na tę swoją Umbrję, którą kocha.

A że dzienniki podały już wiadomość o jej odjeździe z królem Borysem z Brindisi, to nic nie przeszkadza. Bajka kończyła się inaczej: i może gdyby nie twarda konieczność i obowiązek królewski, rzeczywistość równałaby się bajce.

Zofja Norblin Chrzanowska

Assyż.

Życie, kultura, tradycja teatru

Drugi tom na wielką miarę zakrojonego dzieła *Jana Lorentowicza*)* zawiera teatr grecki, angielski i francuski. I w tej serji pozostał autor wiernym zadaniom i zasadom, wypowiedzianym w programowem „Słowie Wstępnem" do serji pierwszej. I w tej więc serji wybija się jako motyw naczelny „troska o utrwalenie tradycji teatralnej", i w tej serji widocznem jest, że autor stara się dać w tej księdze „dokument teatralnej wrażliwości epoki". Z tego też punktu widzenia do bardzo interesujących ustępów należą te, w których „autor stara się — o ile to możliwe — odtwarzać przy wznowieniu dawnych sztuk atmosferę ich premjer przez cytowanie sądów współczesnej krytyki i wykazywanie różnicy odbieranych wrażeń" (Serja I. str. VII).

„Dwadzieścia lat teatru" to książka żywa, bo traktująca z żywem wyczuciem o czemś, co żyje i w coraz ciekawszej odżywa formie — to książka o życiu dramatu. Dramat zaś żyje dzięki teatrowi, bez niego jest literą nieraz bardzo wartościową i ciekawą, ale martwą! Z punktu widzenia tej atmosfery życia dla dramatu, jaką jest teatr, rozpatruje Lorentowicz cały szereg utworów, przyczem na dobór ich nie wpłynęła żadna z góry powzięta myśl czy koncepcja lecz znowu życie teatru, które te właśnie sztuki z prądem swoim przyniosło. Jeśliby brać rzecz od strony dziejów dramatu, byłaby w tem wielka przypadkowość, ale od strony dziejów sceny warszawskiej jest w tem bardzo poważna konieczność, bądź to natury wewnętrzno-artystycznej, bądź też czysto konjunkturalnej. I przez to właśnie książka ta staje się wizerunkiem niezmiernie ważnym warszawskiego życia teatralnego z jego upodobaniami i grymasami, z pomysłami kierowników scen i dziwactwami publiczności. Albowiem to, że gra się tę a nie inną sztukę, jest wypadkową tych dwóch dążności: stylu kierownika i smaku publiczności. W pośrodku jako uczciwy pośrednik stoi krytyk, starając się usunąć pomiędzy obu stronami wszelkie nieporozumienia, usprawiedliwić względnie zganić zamysł tej czy owej dyrekcji, wyjaśnić ten lub ów jej krok, wyczuć żądania publiczności, wychować jedno i drugie z myślą o wytworzeniu w polu swojego działania kultury teatralnej.



JAN LORENTOWICZ

Kultura zaś teatralna, jak każda, jest wynikiem współdziałania całej mnogości trudno nieraz uchwytnych sił, i to zarówno natury materjalnej, jak i moralnej. O tych pierwszych w ocenie tej kultury zbyt pochopnie nieraz się zapomina — a bez nich niema kultury, najwyżej szlachetne porywy lub rozpaczliwe zmagania się. Nic więc dziwnego, że te względy właśnie czysto materjalne rozstrzygają bardzo często o doborze repertuaru i rzucają właściwe światło na jego dziwną na pozór przypadkowość.

Książka J. Lorentowicza daje nie tylko odpowiedź na niezmiernie interesujące pytanie, co grano w Warszawie w okresie lat dwudziestu i j a k grano, ale bardzo często dowiadujemy się też, d l a c z e g o grano, co w tym związku jest kwestją bardzo ważną, bo wykazuje, jakich ukrytych nieraz sił dobór repertuaru jest wynikiem. Mamy więc nietylko obraz wysiłku teatralnego stolicy w tym czasie, ale przeważnie też dowiadujemy się, jakie były takiego a nie innego wyglądu tego obrazu głębsze przyczyny.

Marzenia a raczej myśli o utworzeniu w Warszawie jakiegoś muzeum teatralnego przy zamierzo-

*) Dwadzieścia lat teatru. Warszawa, 1930. Nakładem księgarni F. Hoesicka, str. 579. 8°.

nym przez Z. A. S. P. instytucie teatralnym rozpierzchły się wniwecz. Dziś przy znakomitym rozwoju utrwalających żywy głos i ruch środków technicznych, wartość takiego zbioru dla podtrzymania polskiej tradycji teatralnej, dla jej wytworzenia byłaby bardzo poważna. Zamiast objektywnie pewnego środka utrwalenia mamy subjektywnie zabarwione ale bardzo wyraźnie chwytające obrazy zwierciadło teatru stołecznego w Polsce a z nim i przez nie niezmiernie cenny środek dla kultury tradycji teatralnej u nas.

Artystom książka ta przywiedzie na pamięć niektóre znakomite kreacje ich poprzedników, nierzadko w oświetleniu krytycznem, dyrektorom zwróci uwagę na tę czy ową niesłusznie zapomnianą sztukę i obudzi dla niej zainteresowanie, miłośnik szczery i prawdziwy teatru z rozrzewnieniem zapewne nieraz wertować będzie karty tej księgi, wczytywać się to tu, to tam, a przed oczyma stawać mu będą te czy owe postacie, takie czy inne spektakle, premjery, recenzje, spory, intrygi... jednem słowem, życie.

Budzi więc ta książka w pamięci życie dawne, torując śmiało drogi nowemu, przywołuje na pamięć wspomnienia i uświadamia problemy, stawia wzory i pobudza do ich dyskutowania, pokazuje wielkie poczynania i przestrzega przed wielkiemi złudzeniami. A przytem ile się można dowiedzieć i nauczyć, np. z krytyki „Cyrulika Sewilskiego"? Teatr francuski, który Lorentowicz przeżył bezpośrednio w latach swego pobytu w Paryżu, jest mu bardzo bliskim, traktuje go też ze specjalną pasją i umiłowaniem, bo zna nie tylko teatr ale i atmosferę z gruntu. Stąd też nie tylko wielcy twórcy ale i wielcy rzemieślnicy dramatu francuskiego wychodzą w jego oświetleniu bardzo plastycznie i zrozumiałą nam się staje cała istota francuskiego teatru, jego społeczne i duchowe kulisy. A przytem poświęca autor sporo uwagi tak niezmiernie ważnemu problemowi, jak wystawianie współczesnych sztuk obcych a zwłaszcza francuskich u nas, zastanawiając się nad ogólnem podłożem ich oddźwięku w Polsce. To jest istotnie problem jeden z bardzo zasadniczych w rozwoju współczesnego teatru, i mało kto się nad nim dotąd poważnie zastanawiał prócz Brandesa, z którym rozprawia się właśnie w tej materji Lorentowicz.

Książki tego typu, jak Lorentowicza, nie należy czytać jednym tchem po kolei, gdyż właściwa jej wartość i prawdziwy jej charakter uwydatnia się raczej dopiero przy dobieraniu się do poszczególnych ustępów, tak jak przecież nikt zbioru aforyzmów ani wierszy nie czyta po kolei, lecz naprzód gustuje i delektuje się i nawet się nie spostrzeże, jak przeczyta całość i wraca do niej znowu, zagląda z takich to czy innych powodów. Podobnież tych „Dwadzieścia lat", to nie jest żaden system ani traktat uporządkowany, lecz zbiór uwag i impresyj wielkiego miłośnika i znawcy teatru, pisanych tak bystro i statecznie, że, jak dobre wino, z biegiem lat nietylko nie traci wartości lecz przeciwnie nabiera specjalnego smaku, ale tylko dla znawców! Niech więc ci przedewszystkiem próbują, a będą często i z przyjemnością zaglądać do tego tomu.

Zygmunt Łempicki

NOWY PREZES TOW. KREDYTOWEGO ZIEMSKIEGO



DR. AUGUST POPŁAWSKI, B. WICEMINISTER SKARBU, WYBITNY FINANSISTA I ZIEMIANIN, OBRANY ZOSTAŁ PREZESEM TOW. KREDYTOWEGO ZIEMSKIEGO

CO CZYTAĆ?

„MAHATMA GANDHI" — „BUNT MŁODZIEŻY" — „WOJNA O WOLNOŚĆ NARODÓW"

Od roku 1920 Indje objęte są nieustającem wrzeniem. Nas europejczyków ta „dziwna" rewolucja nie może nie zastanowić. Hindusi stosują bowiem egzotyczne sposoby walki z rządem Wielkiej Brytanji. Ich hasła polityczne są właściwie nastawieniami religijnemi. Żądają oni niepodległości swego kraju, bo... anglicy nie są gentelmenami. Nie dotrzymują zobowiązań, uciekają się do przemocy i gwałtu. Dla kulturalnego Hindusa są to wyraźne wskazówki, że nie należy się łączyć z Anglją. Tradycja religijna indyjska uczy, iż nie wolno czynić ani przeciwstawiać się złu. Jest to słynna „Ahimsa", idea znana i w Europie z pism Lwa Tołstoja.

Wyznawcą jej i prorokiem jest wódz duchowy Indji współczesnych Mahatma Gandhi. Postacią jego zainteresował się Romain Rolland. Wydał o Gandhim książkę, która w krótkim czasie zdobyła 50 wydań. Przełożono ją na liczne języki europejskie, teraz ukazała się w polskiem tłomaczeniu. Rzuca ciekawy snop światła ta publikacja tak na osobę Gandhiego, jak i rewolucję indyjską.

Mahatma Gandhi z upodobań wewnętrznych jest raczej kontemplatorem. Zbieg wydarzeń wysunął go na czoło ruchu politycznego. Dąży on przez „nieposłuszeństwo cywilne", czyli zupełną bierność w stosunku do władz angielskich, do uzyskania wolności swego kraju. „Nieposłuszeństwo cywilne" nie może czynić żadnego gwałtu, przemocy. Jest to swoisty strejk. Idea ta opanowała umysły w Indjach. Gandhi przy jej pomocy wydaje rozkazy, które znajdują absolutny posłuch. Anglicy nie mogą im przeciwdziałać, bo Gandhi surowo zakazuje wszelkich ekscesów.

Pozytywny jest jego zakaz niekupowania towarów angielskich. Każdy hindus musi sam sobie utkać materjału na ubranie. Gandhi, dając przykład, chodzi w szatach własnej roboty. Z zawodu był ongiś adwokatem. Studja prawnicze odbywał w Londynie. Wysunął się na czoło ruchu umysłowego indyjskiego jeszcze w Afryce Południowej, gdzie prowadził ciężką walkę z eksterminacyjnem prawodawstwem brytyjskiem. Teraz jest mahatmą, „wielką duszą", człowiekiem, który „stał się jednem ze wszechświatem". Jak wygląda? Romain Rollad tak go opisuje:

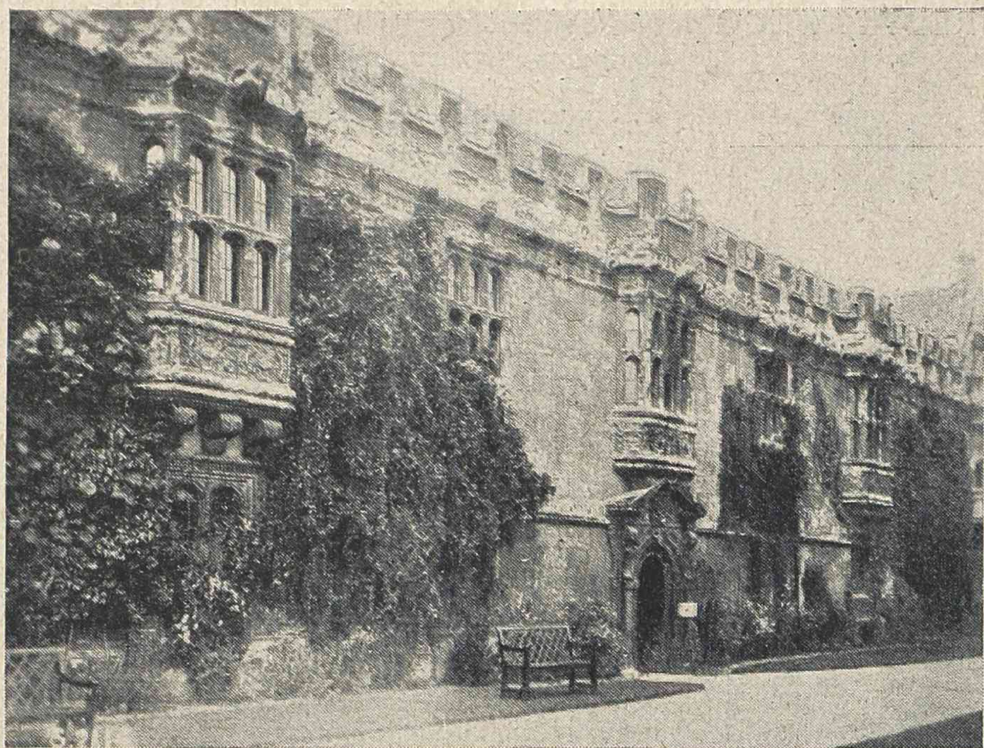
„Spokojne, ciemne oczy. Drobny, wątły człowieczek o twarzy mizernej i odstających uszach. Ubrany w biały zawój i suknię z grubej białej tkaniny. Nogi bose. Żywi się ryżem, owocami, pije tylko wodę, sypia na podłodze"...

Warto jest przeczytać tę Rollandowską książkę o Gandhim. Jest ona apologją proroka z nad Gangesu. Przeciętny europejczyk może się nią zainteresować, lecz musi stwierdzić, iż jest ona bardzo daleka od naszych nastawień psychologicznych i kulturalnych.

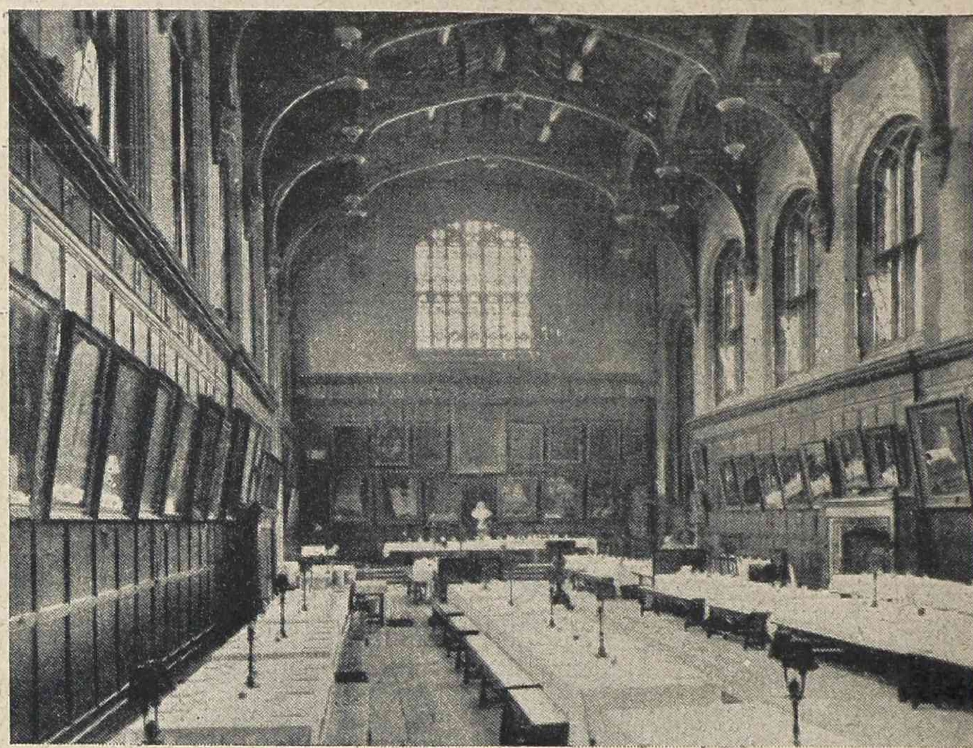
Wielkim rozgłosem cieszy się również książka Ben B. Lindsey'a, sędziego dla nieletnich z miasta Denver, p. t. „Bunt młodzieży". Mamy ją w polskim przekładzie i nie dziwimy się wcale poczytności. Obyczaje w Stanach Zjednoczonych po wojnie, jak zresztą i u nas, mocno wynaturzyły się. W Ameryce wskutek dobrobytu rzeczywistość ta zarysowała się w formach jaskrawszych. Czy ją potępiać? Sędzia B. Lindsey proponuje i słusznie względność. Nie może przecież jeden fałszywy krok łamać istnienia ludzkiego na zawsze. Mimo to fakty, które on cytuje, są zgoła egzotyczne. Dotyczą prawie dzieci. Przez podobne rozwydrzenie seksualne przechodziła Rosja po przewrocie bolszewickim.

Ukazał się w polskim przekładzie drugi tom pamiętnika T. G. Masaryka, prezydenta republiki czesko-słowackiej p. t. „Wojna o wolność narodów". Zawiera bardzo ciekawe spostrzeżenia, dotyczące Rosji, Anglji, Stanów Zjednoczonych, Francji.

E. C.



MURY STAREJ WSZECHNICY



REFEKTARZ

OXFORD NAPRAWDĘ

Oxford, magiczne słowo! Wywołuje przed oczyma tych, którzy go znają, szare kolegja, obrośnięte bluszczem, zamykające w swych zębatych murach rozległe dziedzińce o wielkich trawnikach, sale wykładowe o wspaniałych boazerjach i starych, zczerniałych portretach. Miasto tysiącletnie, a przecież wiecznie młode, rzucające swój urok na rój młodzieży, która w jego nasiąkniętych tradycją murach tyle świeżości potrafi zawsze odnaleźć.

Ale ci, którzy go nie znają, widzą obraz tak często niezgodny z rzeczywistością. Bogata młodzież arystokratyczna, pieniędzy u wszystkich wbród, regaty wioślarskie i czas zapełniony sportami i zabawą. Oto, jak ludzie, nieznający życia w Oxfordzie, wyobrażają sobie tamtejsze warunki. Taka się już zrobiła legenda, zagranicą przyjęto ją za prawdę, a skutek taki, że, gdy ktoś mówi, iż studjował w Oxfordzie, pytają go z uśmieszkiem: tenis czy wioślarstwo? A jak jest naprawdę? Chyba trochę się rzeczywistość od legendy musi różnić, bo inaczej dlaczegóżby w Anglji słowo „Oxfordman" było rękojmią wysokiej kultury intelektualnej?

Jeśli ktoś chce pracować naukowo, to znajdzie w Oxfordzie idealne do tego warunki. Wszystko jest pod ręką: bibljoteki, które posiadają egzemplarze wszystkich książek, wydanych w czterech stronach świata; wykłady najświetniejszych profesorów; odczyty znakomitych polityków i uczonych; dostęp do wiedzy jest tak ułatwiony, że tylko rękę trzeba po nią wyciągnąć.

Każdy student ma jednego, czasem więcej profesorów, którzy kontrolują jego postępy. Odbywa się to tak: profesor daje do opracowania jakiś temat i informuje, jakie książki należy w tym celu przeczytać. Student musi sobie te książki wyszukać, przeczytać w ciągu kilku dni, opracować zadany temat piśmiennie na większej ilości stron papieru, formatu kancelaryjnego, przynieść to w oznaczony dzień do profesora, przeczytać i przedyskutować z nim swą pracę. Poczem profesor daje nowy temat. Taką przyjemność ma się od jednego do trzech lub czterech razy na tydzień...

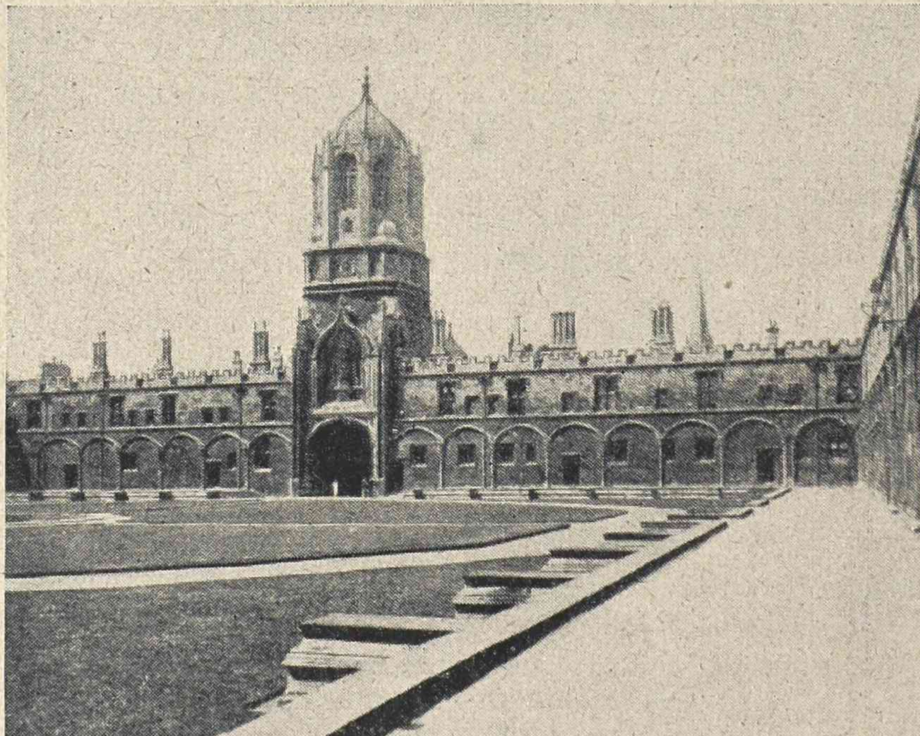
Ależ, wobec tego, kiedy jest czas na sport i zabawę? Jest, jest, znajdzie się. Sporty uprawia się pomiędzy obiadem i podwieczorkiem, nigdy przedtem, a rzadko potem. W Anglji uważają, że źle jest uczyć się po lunch'u, człowiek jest wtedy ociężały i senny i powinien rozruszać się i odświeżyć. To też między drugą i czwartą pp. na ulicach Oxfordu, na rowerach i w samochodach, widać przeważnie ludzi napół tylko ubranych. Krótkie spodenki lekkoatletyczne, czy pasiasta koszulka footbalowa, nie przeszkadzają zupełnie wyjściu na miasto i chodzeniu po najelegantszych i najruchliwszych ulicach. Ale już między czwartą i piątą wszystkie kawiarnie są zapełnione, bo żaden szanujący się anglik nie wyrzecze się tradycjonalnej herbaty i na tea-times każdy jest gotów. Czytelnie o tej porze pustoszeją, w mieszkaniu rzadko kogo można zastać, chyba, że urządza właśnie u siebie proszoną herbatę. Wówczas pilny student, który rano z uwagą notował wykład, a chwile między wykładami spędzał w czytelni, lub zacięty hokeista z przed godziny, zmienia się w idealnego gospodarza, z którego przykład mogłoby brać wiele pań. Umie zrobić doskonałą herbatę, umie zająć się swymi gośćmi, o wszystkiem pamięta, o wszystkich dba, nie wyłączając i siebie.

Student Oxfordzki, pomimo nawału pracy, lubi się bawić. Fakt, że wszyscy żyją w małem mieście, wciąż się spotykają i że naogół nie ma się tam wielkich kłopotów, sprawia, że życie w Oxfordzie jest bardzo wesołe i urozmaicone. Ale nie trzeba zaraz wyciągać z tego wniosków, że polega ono jedynie na zabawie. W Oxfordzie większość potrafiła doskonale połączyć naukę z zabawą, a że anglik z natury patrzy na wszystko pod kątem widzenia humorystycznym, więc śmiech słychać nietylko na śniadaniach, obiadach i rozmaitych innych „parties", z których slynie Oxford. Śmiech jest w Anglji chlebem powszednim i dlatego może Oxford wygląda zdaleka zawsze beztrosko i wesoło. Potrafi on być i poważnym, trzeba tylko zajrzeć pod powierzchnię...

Na kontynencie utarła się opinja, że aby być w Oxfordzie, trzeba mieć pieniądze, i że większość studjującej tam młodzieży ma sir'ów i lordów za ojców. Cóż za przesada! Procent tych, którzy rzeczywiście nie musieli liczyć się z pieniędzmi, jest minimalny, a arystokracji jeszcze mniejszy. Iluż to w Oxfordzie jest stypendystów, ilu ludzi, którzy w czasie wakacyj zarabiają, lub też żyją bardzo oszczędnie, bo na rozrzucanie niepotrzebne pieniędzy nie stać ich. Takich w Oxfordzie jest większość. Synowie i córki pastorów, urzędników, ludzi ze sfery średnio zamożnej, stanowią głos młodzieży studenckiej, a cudzoziemcy, którzy tam przyjeżdżają, to też nie wszystko miljonerzy.

Każdy młody człowiek, który chce prowadzić poważne studja uniwersyteckie, może skorzystać wiele z pobytu w Oxfordzie, wynieść stamtąd zapał i energję życiową, a na całe życie zachować wspomnienie chwil, spędzonych w nieporównanej, skamieniałej bajce, rzucającej na każdego swój urok przemożny.

Krystyna Szererówna



KOŚCIÓŁ CHRYSTUSA PANA W OXFORDZIE

PO-WO-DZIE

Fot. Wide World Photos



Bombaj pod wodą



Jak dzieci w mieście Lignicy przedostają się do szkoły

Na Górnym Śląsku powódź odcięła cały szereg wiosek od dróg. Lignica znalazła się również w niższej części miasta pod wodą



NA POMORZU

(Z wrażeń i przeżyć myśliwskich)

...W tem mającem się odbyć uroczyście misterjum myśliwskiem ja jestem dziś osobą uprzywilejowaną, mnie bowiem przypadł zaszczyt strzału do byka - daniela. Ja mam dokonać mordu według ustalonego rytuału łowieckiego na królewskim panu tej kniei. Jestem zażenowany, jak młoda panna, którą prowadzą na pierwszy bal... Czuję na sobie spojrzenia, w których tają się wątpliwości, niedowierzanie. Nabiłem sztucer, zasunąłem bezpiecznik. Niech się dzieje wola Nieba!

. . . .

P. Bronisław Czarniecki, który siedzi w powozie koło mnie, przez lornetę świdruje mętną i tajemniczą głąb lasu. Leśnik czyni to samo swemi niezawodnemi oczami młodego jastrzębia. Wtem obaj spoważnieli. Leśnik położył rękę na ramieniu p. Zana. Ten powściągnął konie do powolnego, równomiernego stępa. O paręset kroków od nas, w wysokim lesie sosnowym, wśród jałowcowych krzaków, jakieś płowe sylwety. Daniele! Pierwszy raz spotykam się z tem pięknem zwierzęciem, znacznie większem od sarny, mniejszem od jelenia, z rogami przypominającemi cokolwiek łosie. Już stoję na stopniu, gotując się do zeskoczenia, gdy p. Czarniecki odjął lornetkę, zobojętniał.

— Łanie i mały spiczak!

Jedziemy dalej. Wciskamy się krętemi, zarosłemi trawą drożynami w samo wnętrze kniei, staczamy się w dół, wspinamy pod górę, myszkujemy wśród zadrzewionych zboczy. Tu i owdzie zdaleka migają płowe cienie, lecz wnet znikają. Ostrożne bestje! Aż wreszcie... O św. Hubercie! Dodaj mi odwagi w tem wyznaniu bolesnej prawdy!

Oczy leśnika utkwiły w zielonawym mroku gęstego lasku sosnowego. Twarz jego przyoblekło religijne niemal skupienie. Dał znak dłonią. Zeskoczyłem na piaszczystą dróżkę. Za mną p. Czarniecki. Przypadliśmy do rowu. Powóz skrzypiąc pojechał niespiesznie dalej. Wśród ścieśnionej drągowiny stoi kilka sztuk... Raczej widma, niż żywe stworzenia! Odsunąłem bezpiecznik. Serce bije tak mocno, że dech zapiera.

Byk na prawo! szepce p. Czarniecki.

Zwierzęta poruszyły się. Zwęszyły nas. Nie było czasu do stracenia. Zmierzyłem szybko, nie postawiwszy nawet wizjera. Za szybko, lekkomyślnie. Wzrok moich towarzyszy spoczął na lufach mego sztucera. Huknął strzał. Byk skoczył w górę. Tak byłem pewny, iż pada, żem z drugiej lufy nie strzelił. A on skręcił w skoku i wraz z całem stadem zniknął w gęstwinie.

W piersiach poczułem pięciopudowy ciężar. W oczach kolegów myśliwych zawstydzenie! Nie chcę odgadywać, co w tej chwili o mnie myślą. Gdyby który z nich spudłował, myślałbym prawdopodobnie to samo.

Idziemy szukać śladów strzału. Przejście jest utrudnione, bo sosenki splątane są suchemi gałęziami. One to czyniły ów półmrok. Odnajdujemy grubszą suchą gałąź, rozszczepioną przez moją kulę. Czy wskutek tego kierunek jej nie uległ odchyleniu? Uprzejmi towarzysze twierdzą, że tak. Ja wolę wziąć całą odpowiedzialność na siebie. Zwłaszcza, że w głębi serca czuję zgoła niemyśliwską ulgę... W mózgu została mi wizja pięknych, płowych zwierząt, ich ruchy powabne i szlachetne. Krwawy mord nie zmącił rozkosznego, jesiennego popołudnia w kniei...

Okazuje się później, że dr. Sahm również tego dnia nie zabił daniela.

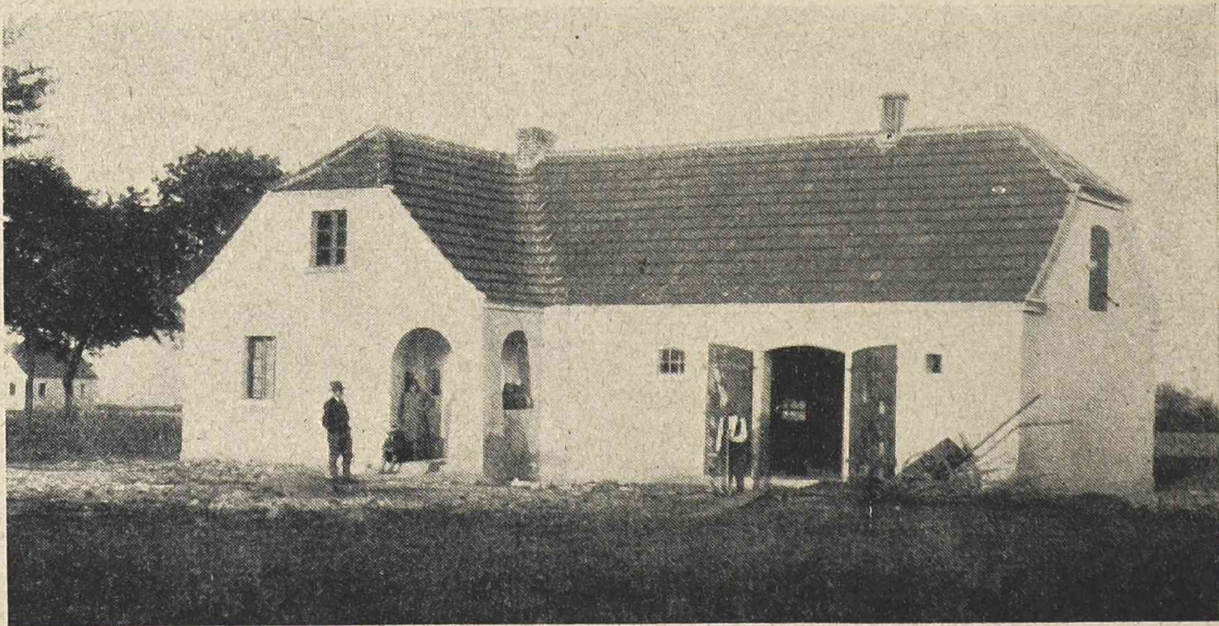
O szarym zmierzchu już wydostajemy się na prostą linję szosy. Mkniemy szybko... W dali błyskają liczne światła. Grudziądz.

. . . .

Długim, żelaznym mostem przerzynamy majestatyczną w swej niezakłóconej powadze Wisłę. Wieczór przedświąteczny wywiódł mieszkańców na ulice. Grudziądz, miasto przemysłowe, odniemcza się wcale szybko. Proces ten byłby jeszcze żywszy, gdyby nie przeszkadzał brak mieszkań. Sprawa budowlana w miastach pomorskich nabiera znaczenia politycznego. Nie wystarcza śpiewać w uroczystych chwilach: „nie damy ziemi, skąd nasz ród. Trzeba tej ziemi zapewnić należną pomoc i opiekę. Zwłaszcza, że niemiecki rolnik, przemysłowiec czy rzemieślnik doznaje opieki i pomocy od swoich rodaków z Rzeszy nader sowicie.

Ktoś powie: — Gdzie skarb polski znajdzie na ten cel środki? Gdzie? Na Pomorzu. Z trzystu kilkudziesięciu tysięcy hektarów lasów, które tu figurują, można śmiało cząstkę poświęcić. Wzmocnienie polskości na Pomorzu, ściągnięcie tu w większej liczbie inteligencji polskiej, to rzeczy ważniejsze, niż zachłanne konserwowanie kilkunastu tysięcy hektarów starodrzewu.

. . . .



JEDNA Z KOLONJI POMORSKICH ZAŁOŻONYCH PRZEZ PAŃSTWOWY BANK ROLNY

„Królewski Dwór“ w rynku może służyć za wzór niejednemu z pierwszorzędnych hoteli stołecznych. Pokoje dobrze umeblowane, nieskazitelnej czystości, służba wyszkolona.

I oto wreszcie zasiedliśmy w dużej, po wielkomiejsku urządzonej sali restauracyjnej. Od pierwszego śniadania nie mieliśmy nic w ustach. A jest taki znakomity lekarz w Warszawie, który podejrzewa mię stale, że na polowaniach nic innego nie robię, tylko pcham w siebie kiełbasę, bigos, i popijam szklankami stuletnią starkę!...

Dokoła prawie wszystkie stoliki zajęte. Publiczność przeważnie polska. Wojskowi, urzędnicy. Tu i owdzie słyszy się język niemiecki. Jazz-band grzmi tak samo, jak w nocnych restauracjach warszawskich. Kilka młodych par przegina się i wykręca pośrodku sali. Z jakąż radością zabieramy się do kolacji! Przypomniał mi się poniewoli dawny rysunek Kostrzewskiego. Opasły burżuj wychodzi od „Stępka“, wychudły nędzarz wyciąga rękę.

— Miłosierny panie, choć parę groszy... Jestem głodny.

Na to burżuj:

— Mój drogi, ja ci tylko zazdroszczę! Rubla dałbym, gdybym mógł być w tej chwili głodnym!

Liczniejsze towarzystwo niemieckie zjawia się naprzeciw naszego stolika. Tyłem do mnie stanęły przy krzesłach dwie wcale przystojne, mocno zbudowane blondynki. Siadają. I nagle uderza mię widok dwóch rozległych pełni księżycowych, obciągniętych schludnym niebieskim trykotem. To pod moim adresem? Manifestacja? Nie, to zabiegliwa przezorność, aby jasnych sukienek nie splamiły restauracyjne siedzenia. Wizja była krótka, lecz wymowna. Miłe oku kształty germańskie zarysowały się znacznie wyraźniej, niż ów daniel w mrocznej drągowinie...

. . . .

Jeszcze ciemno, gdy nas budzą. Wyskakuję raźno z łóżka. Niestety! Jesienny deszczyk mży mozolnie, niebo beznadziejnie szare. Jechać czy nie jechać? Krótko trwa wachanie. Myśliwemu nie wolno chybić terminu. Nie on rządzi pogodą. Musi stosować się do jej kaprysów.

Rychło jesteśmy znów w Sartowicach. I oto cud! Św. Hubert okazuje miłosierdzie, deszcz przestaje padać. Lecz na tem kończy się łaska. Daniele okazują się tak mądre, iż zgoła nie dadzą się na strzał podjechać. Spotykamy kilka rudli, parę pojedyńczych sztuk. Wszystkie, nie zwlekając, spiesznie znikają w zaroślach.

W dżdżystą porę las nabiera nowych barw i powabów. Zieleń staje się jeszcze intensywniejszą. Powietrze jest zielone. Daleko migające sylwety danieli wydają się na tem tle liljowe...

Rudel, złożony z czterech sztuk, ruszył przed nami w jałowcach. Wyskoczyłem z powozu, zacząłem podbiegać z drugiej strony. I nagle, na jakieś sto pięćdziesiąt kroków, wyłoniły się uciekające krótkim galopem zwierzęta. Na przodzie szedł grzywiasty wspaniały byk, z pięknemi łopatami, za nim trzy łanie. Miałem pół sekundy czasu. Wolałem nasycić się niezrównanym widokiem, niż ryzykować bardzo niepewny strzał. I nie żałuję tego wcale.

Blisko pięć godzin włóczymy się bezskutecznie po kniei. Deszczyk znów siepie pomalutku ale bez wytchnienia. Trzeba zrezygnować ostatecznie z morderczych zamierzeń.

Wrócę bez rogów danielich. Lecz w pamięci zostaną mi przepiękne lasy pomorskie, w duszy — nieprzeparty urok tej prastarej, polskiej dzielnicy. Stała mi się bliską i drogą.

Stefan Krzywoszewski

JAN LEMAŃSKI

BAJKI

ROZMOWA Z KOTEM

Mam kota, z którym czasem rozmawiam. — Mój kocie —
Rzekłem pewnego razu: — masz u mnie wygody,
Masz wikt z cielęcych wątrób i inne łakocie,
Mleko masz... słowem, życia zapewnione gody.
Lecz nieraz, jakbyś tęsknił, miauczysz?... — Tak, — kot [wyrzekł: —
Dobrobytu choć duża skala sybarycka
Nie jest wszystkiem. Pożądam strychu, dachu wyżek,
I dlatego w mem sercu tworzy się goryczka.
Porządek twego domu, wymiatanie śmieci
Denerwuje mnie... Żyć bez pisku myszy, szczurów,
Bez polowania, które w żyłach krew mi nieci,
Które jest dobrodziejstwem dla moich pazurów —
To straszna rzecz! Dlatego wpadam w melancholję.
Zakamarków pożądam, nor, szpar, gdzie nieczysto.
Nad twój ład ja rozgardjasz, ja brud, ja kurz wolę.
Popraw się, zrób bałagan! — Nie, mój anarchisto —
Odrzekłem: — chciałbyś myszki jeść w piwnicznym [brudzie,
Znęcać się, igrać z niemi bierze cię ochota?
Nie! Niech ten system uprawiają ludzie:
Ty żyj życiem wyższego nad ludzki tłum kota!

FARYZEUSZ

Patrzcie, jakim ja dobry, jak uwielbiam cnotę
I jak się nie uchylam od praw ni na jotę!
O gdybyż wszyscy jak ja byli jednakowi!
Dziś dałem grosz biednemu bez nóg żebrakowi,
Wczoraj pościłem (prawda: byłem niezdrów kapkę),
Onegdaj, przed kościołem idąc, zdjąłem czapkę.
By zawstydzić grzesznika, który szedł pogańsko,
Nie odkrywszy łba, gałgan, przed świątynią Pańską...
Boże, który wzniesiony nad przestępstw ogromem,
Przebaczasz im i winnych nie zabijasz gromem,
Spojrzeć na moją prawość chciej, a tamtym za te
Oraz inne złoczyny daj rekompensatę!

. . . .

Nie wiem (sam sobie bajki treść na morał przełóż),
Czy otrzymał nagrodę ów cny Faryzeusz,
To pewna, że gatunek ten dobra czcicieli
(Na pokaz) ma w narodzie tłum przedstawicieli,
Zachwalających własnej koterji ogonek,
A na cudzą (że cudza) skorych do nagonek.



(old). Niezależna opinja publiczna z zaniepokojeniem patrzy na masowe unieważnianie list wyborczych, zgłaszanych przez partje opozycyjne, przestrzegające gruntu państwowego i prawnego. Obawia się, że takie sztuczne pozbawianie wielu wyborców możności swobodnego wypowiedzenia swego zdania, takie usuwanie ich od aktu, w którym raz na kilka lat przejawia się suwerenność narodu, szkodliwie wpłynie na wiarę ludu w skuteczność przestrzegania legalizmu i obniży powagę przyszłego przedstawicielstwa narodowego, która i tak nie stoi u nas zbyt wysoko.

Okręgowe komisje wyborcze, chętnie korzystające obecnie z arbitralnego prawa unieważniania list kandydatów do parlamentu, podają wprawdzie motywy swej decyzji. A to niedostateczna liczba podpisów zgłaszających listę, a to ich nieczytelność lub zakwestjonowana przez grafologa autentyczność, a to niewpisanie zgłaszających na liście wyborców lub niedokładności w podaniu ich wieku i adresu, a to niezszycie arkuszów, zawierających podpisy, i dziesiątki innych takich drobnych uchybień.

Dlaczego nie są one w czas usuwane i powodują tak wielkie, nie do naprawienia konsekwencje, jak unieważnianie list kandydackich, za któremi stoją poważne zespoły przekonaniowe i setki tysięcy wyborców — zrozumieć to nie łatwo.

Art. 53 ustawy o ordynacji wyborczej do Sejmu z dn. 28 lipca 1922 r. postanawia: „przewodniczący Okręgowej Komisji Wyborczej bada, czy zgłoszone listy kandydatów odpowiadają przepisom ustawy, o dostrzeżonych zaś brakach i wadach zawiadamia pełnomocnika listy najpóźniej w 3 dni po zgłoszeniu listy". Następny zaś artykuł pozostawia pełnomocnikowi 5 dni do usunięcia „wskazanych wad i braków", poczem dopiero właściwa komisja wyborcza decyduje o ważności lub nieważności zgłoszenia.

Zdaje się, że jest dość czasu i możliwości do usunięcia wszelkich niedokładności na listach? Skądżeż tyle unieważnień?

Czy przewodniczący okręgowych komisyj wyborczych nie wykonują wynikających z art. 53 obowiązków? Czy pełnomocnicy list lekceważą ich objekcje? Czy też komisje wyborcze nie ograniczają się do stwierdzenia usunięcia błędów, wskazanych przez swego przewodniczącego, lecz doszukują się coraz nowych, nieujawnionych zawczasu przez niego uchybień, byle skasować listę?

Naczelny komisarz wyborczy, czuwający nad prawidłowością całego aktu wyborów nowego parlamentu, powinien tę anomalję zbadać i wyjaśnić publicznie.

. . . .

(sk.) Wszyscy spokojni ludzie z utęsknieniem wyczekują dnia wyborów. Aby mogli nareszcie dać wyraz swoim przekonaniom? Zapewne. Lecz przedewszystkiem dlatego, ażeby „to już raz się skończyło". Atmosfera walki wyborczej dziwnie pozbawiona jest wdzięku. Na całej linji panuje wszechwładnie złość; tu i owdzie, w zaułkach, czai się ordynarna brutalność.

Każdy rozumie, że ten proces jest nie do uniknięcia. Kto chce zwyciężyć, musi walczyć. Kto będzie walczył po rycersku z przeciwnikiem — chamem, prawdopodobnie ulegnie. Więc precz rycerskie obyczaje, bądźmy wszyscy chamami, nie lękajmy się demagogji, kabotynerji, kłamstwa! Do kata! Ci sami ludzie, którzy z tego jarmarcznego zgiełku wychodzą jako posłowie i senatorowie, domagają się wnet czci i posłuchu, jako sumienie i mózg narodu!...

Parlamentaryzm ma wiele słabych i brzydkich stron... Na to wszyscy muszą się zgodzić. Tylko że do tej pory, w sposobach rządzenia państwem, nie wynaleziono nic lepszego.

. . . .

(alfa). Według ostatnich obliczeń, Ministerstwo Spraw Zagranicznych wydało w ostatnim roku około 200.000 wiz na wjazd cudzoziemców do Polski.

Statystyka nie wyjaśnia, ile w tej liczbie mieści się wiz tranzytowych. Nie mówi się również, ilu cudzoziemców zwiedziło Polskę dla celów turystycznych. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że największy odsetek przyjezdnych przypada na obywateli Rzeszy Niemieckiej (60%), że na Francuzów przypada zaledwie 2,5 proc., na Rosjan 5 proc., na Amerykanów 2 proc., na Anglików 1,5 proc., Włochów 0,5 proc. i t. d. — to stanie się jasnem, że cudzoziemcy przyjeżdżają do nas głównie w sprawach handlowych.

Stan cudzoziemskiej *turystyki* jest u nas żałosny. Nie możemy, oczywiście, marzyć o tem, aby się zrównać pod względem rozwoju turystyki z niektóremi krajami Europy. Obliczono np., że turyści zostawili we Francji w roku zeszłym około 10 miljardów franków; że obcy turyści przywożą rocznie do Szwajcarji około 400 miljonów franków szwajcarskich; że turystykę wewnętrzną Stanów Zjednoczonych oceniają w r. 1929 na olbrzymią sumę 5 miljardów 200 miljonów dolarów.

Nie mamy, niestety, obliczeń, ile pieniędzy zostawiają w Polsce turyści obcy. Przypuszczać należy, że są to sumy nieznaczne. Gdy mamy do pokazania cudzoziemcom rzeczy piękne, to trudno do nich dojechać z powodu fatalnego stanu dróg; gdy mamy dobre drogi do niektórych naszych osobliwości turystycznych, to nie czynimy nic, aby się o tych osobliwościach dowiedzieli cudzoziemcy. Nie umiemy zrozumieć, że poza znaczeniem moralnem, turystyka obca mogłaby poważnie wpłynąć na wzrost zamożności w Polsce.

Nie o wiele lepiej było do ostatnich czasów z naszą turystyką wewnętrzną, Sporadycznie urządzane wycieczki młodzieży musiały zastąpić akcję zorganizowaną, systematycznie prowadzoną. Budzić się wreszcie zaczyna świadomość wielkiego naszego niedołęstwa w tej dziedzinie. Ubiegły tydzień przyniósł wieści o dwóch próbach poprawy naszej turystyki krajowej: W Warszawie Wydział oświaty i kultury w Magistracie organizuje wycieczki z prowincji do stolicy, po porozumieniu z jednem ze stowarzyszeń turystycznych. Po przygotowaniu planu tych wycieczek, będzie zwiedzało Warszawę po 500 obywateli tygodniowo. Zwiedzający korzystać będą z różnych zniżek, a magistrat zwolni ich z podatku hotelowego. W Krakowie odbyło się

dnia 29 października r. b. zebranie wszystkich miejscowych związków turystycznych. Zebranie to zwołało prezydjum miasta. Uchwalono powołać do życia Krakowski Syndykat Propagandowy, złożony z delegatów wszystkich związków turystycznych. Zastanawiano się jednocześnie nad utworzeniem konsorcjum finansowego, mającego na celu zrealizowanie programu wystaw, widowisk i wszelkich atrakcyj turystycznych w Krakowie.

Mamy więc jakiś zaczątek racjonalnej organizacji turystycznej. Jedynym szkopułem tych przedsięwzięć jest fakt, że mają być prowadzone pod egidą magistratów czyli organizacyj, niezdolnych do żywszej inicjatywy i sprężystego działania.

. . . .

(wig.) Sprawa powstania Instytutu Literackiego bez wiedzy i udziału literatów nie schodzi ze szpalt prasy. Ostatnio 150 profesorów uniwersytetów polskich wystąpiło w obronie dyrektora Funduszu Kultury i twórcy Instytutu, p. Stanisława Michalskiego, przypominając jego zasługi i protestując przeciw atakom na niego.

Jest to nieporozumienie. Nikt doniosłości poczynań kulturalnych p. Michalskiego w czasach zaborczych nie kwestjonuje. Nikt na dobre imię jego nie nastaje. Ale największe nawet zasługi nie stawiają działacza społecznego ponad wszelką krytykę. To też gospodarka p. Michalskiego Funduszem Kultury, powstałym z dotacji państwowej, z podatków obywateli, — musi podlegać publicznej kontroli i ocenie.

Tymczasem p. Michalski rządził się cudzym groszem, jak swoją prywatną własnością. Nikt o powołaniu przed pół rokiem Instytutu Literackiego nie wiedział i prawie nikt nie wie, co się stało i co się dzieje z miljonami państwowego Funduszu Kultury. Na jakie zostały użyte cele? I czy na właściwe, najpilniejsze, najpotrzebniejsze, najbardziej — z punktu widzenia kultury narodowej — produkcyjne? Czy nie rozlały się one, nie rozpłynęły bez śladu w oceanie naszych potrzeb kulturalnych? Czy coś trwałego z tych 7 miljonów powstało?

Oto pytania niepokojące społeczeństwo z powodu konspiracyjności poczynań dyrektora czy dyktatora Funduszu Kultury.

Zresztą wątpliwości te nie zrodziły się ostatnio pod wpływem afery z Instytutem Literackim. Dał im wyraz przed rokiem niemal Sejm, gdy odrzucił dwumiljonową dotację na Fundusz Kultury, uznając anormalność jego wyodrębnionego z pod kompetencji ministra oświaty istnienia. Wobec ataków tych samych dzienników, które widzą teraz niestosowność dyktatury p. Michalskiego, Sejm zmienił stanowisko, obawiając się oskarżeń o skąpstwo na dzieło kultury narodowej.

Należałoby pod wpływem smutnego doświadczenia z Instytutem Literackim powrócić do słusznych założeń sejmowych. W państwie istnieje specjalny dla spraw kulturalnych organ — oficjalny, jawnie działający i odpowiadający za swe czynności: Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Posiada ono dwa wykwalifikowane departamenty: nauki i sztuki, aby objąć całokształt zadań, powierzonych p. Michalskiemu.

Tworzenie obok tego szerokiego gościńca publicznego jakichś ukrytych przed okiem ogółu ścieżek jest uprawianiem dwutorowości, zawsze związanej z marnotrawstwem, bezplanowością i niekonsekwencją.

Jeśliby Fundusz Kultury powstawał ze składek, ofiar i zapisów prywatnych — miałby prawo do samodzielnej egzystencji pod zarządem społecznym. Zasilany wyłącznie z budżetu państwowego — powinien znaleźć się on w rękach Ministerstwa Oświecenia. Istnienie odrębne jest sprzeczne z konstytucją i sprzeczne — jak się namacalnie teraz okazało — z interesem społecznym.

. . . .

(sk.) Z inicjatywy dyrektora Dep. Sztuki, p. Wład. Skoczylasa powstał Instytut Propagandy Sztuki. Idea założyciela była mniej więcej taka: — Zajmujemy się dość gorliwie popieraniem naszej sztuki zagranicą. Urządzamy w różnych stolicach Europy pokazy malarstwa polskiego, rzeźby. Rząd łoży na ten cel spore sumy. Tymczasem w kraju nic się nie robi, by pobudzić zainteresowanie szerszego ogółu dla sztuki rodzimej. Rynek wewnętrzny zawsze i dla każdej wytwórczości jest najważniejszy.

Tę lukę ma wypełnić nowa instytucja, której przewodniczyć będzie p. W. Jastrzębowski.

Pomysł wydaje się trafny. Oczywiście, jego skuteczność będzie zależna od napięcia inicjatywy i energji ze strony tych, którzy „Instytutem" będą kierować. Sprawa sztuki na prowincji leży przeważnie odłogiem. Poza dawnemi stolicami dzielnicowemi, nawet większe nasze miasta nie posiadają muzeów, pozbawione są wystaw okrężnych. Trzeba na tych pustkowiach zbudzić życie, stworzyć ambicje artystyczne. Nie wystarcza złorzeczyć Beocji: należy uczynić wysiłek, aby Beocję w Ateny przeobrazić.

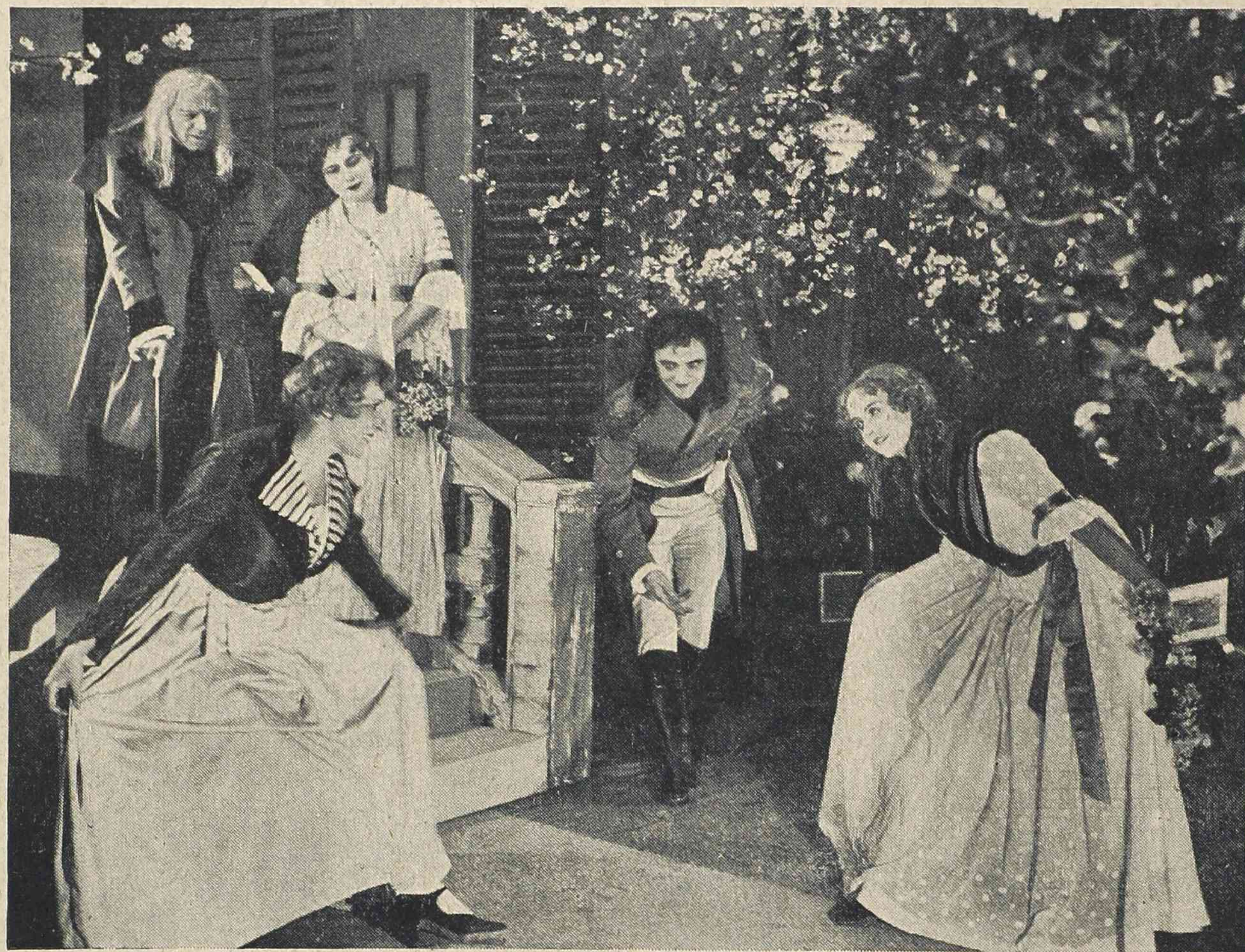
To samo zresztą dzieje się w dziedzinie książki. Oczywiście, książki polskiej, bo tandeta przekładowa, którą zarzucony jest nasz rynek księgarski, mało nas obchodzi. Przydałby nam się analogiczny „Instytut propagandy książki polskiej". Bo, jak nas uczy dotychczasowe doświadczenie, w Polsce artysta nie może liczyć na pomoc istniejących towarzystw artystycznych i handlarzy sztuki, literat — na przedsiębiorczość księgarzy - sprzedawców. Pod tym względem nikt się chyba nie łudzi...

POŚWIĘCENIE KATOLICKIEJ AGENCJI PRASOWEJ



POŚWIĘCENIA DOKONAŁ J. EKS. KS. BISKUP PRZEŹDZIECKI W OBECNOŚCI J. EM. KARD. KAKOWSKIEGO I BISKUPA GALLA — Fot. Jan Ryś

TEATR POLSKI: „GRA MIŁOŚCI I ŚMIERCI", DRAMAT W 3-ch AKTACH ROMAIN ROLLANDA



WYKONAWCY RÓL GŁÓWNYCH: P.P. MODRZEWSKA, WESOŁOWSKI, LIPIŃSKA I PRZYBYŁKO-POTOCKA Fot. St. Brzozowski

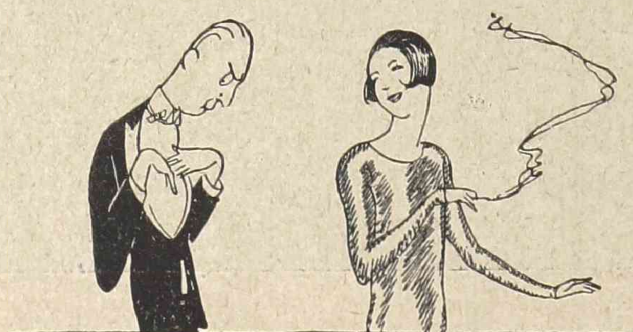
A propos „Gry miłości i śmierci"

Gdyby p. Romain Rolland tak umiał napisać swój dramat, jak go zagrała p. Marja Przybyłko-Potocka w Teatrze Polskim, byłby stworzył arcydzieło. Niestety jednak p. Romain Rolland, człowiek wielkiej kultury, dużego talentu powieściopisarskiego, serce szlachetne, z czułością pochylone nad ludzkością, targaną przez namiętności i nędze, nie jest dramaturgiem. Rzucało się to w oczy na przedstawieniu jego *Dantona*, pełnego błędów w strukturze, wystawionego kilka lat temu również przez dyr. Szyfmana i również w Teatrze Polskim; rzuca się to w oczy jeszcze bardziej w *Grze miłości i śmierci*, zbudowanej, że się ośmielę tak wyrazić, niemal prawidłowo. Uszeregowanie scen po linji akcji dramatycznej, teoretycznie rzecz biorąc, jest tu prawie bez zarzutu, a jednak akcja dramatyczna się nie toczy. Dlaczego? Ponieważ w Romain Rollandzie niema poczucia tego toku, Romain Rolland, nie będąc urodzonym dramaturgiem, nie umiał w zbudowany przez siebie motor dramatyczny nalać benzyny, bo jej nie miał skąd wziąć i nie miał czem zapalić. Romain Rolland kontempluje dramat, nie posiada siły, wprawiającej go w ruch: nie jest dramaturgiem. Dramaturgiem jest ten, kto, budując utwór nawet koszlawy, pełen błędów ze stanowiska formy dramatycznej, obdarza go przecież tym stale wzrastającym pulsem, który nazywamy akcją. Nurt akcji musi płynąć w djalogu bohaterów, w każdem słowie djalogu, to też po djalogu poznaje się dramaturga, łatwiej bowiem nauczyć się zbudowania scenarjusza sztuki dramatycznej, niż napisać prawdziwie sceniczny djalog w małej scence, złożonej z dwóch osób działających. U nas długie lata uczył się dramatopisarstwa Stefan Żeromski i wkońcu doszedł do wyników bardzo skromnych, bo nie miał talentu dramatopisarskiego. A Wacław Sieroszewski po trzydziestu latach pisania powieści, kiedy zapragnął napisać sztukę teatralną, uczynił to wyśmienicie, bo drzemał w nim urodzony dramaturg.

Oczywiście, wszystkich kochających teatr i literaturę zachęcam do zobaczenia sztuki Romain Rollanda w Teatrze Polskim, bo obcowanie z inteligentnym i szlachetnym pisarzem przez dwie godziny zawsze przynosi korzyść, a kreacja p. Przybyłko-Potockiej jest szczytnem dziełem najwyższego kunsztu aktorskiego. Takiej czystości rysunku nie spotyka się często na scenach nietylko naszych, ale i europejskich.

Świetny talent p. Samborskiego w skórze Courvoisiera czuł się, jak piorun, zamknięty w ogniotrwałej opancerzonej szkatule. Wielki temperament p. Dominiaka walczył z nieporadnością dramatopisarską p. Romain Rollanda. Łatwo sobie wyobrazić, co to będzie za używanie, kiedy p. Dominiak spotka się z dramaturgiem rzeczywistym.

Wacław Grubiński



W życiu teatralnem Warszawy zdarzył się wypadek niewiarogodny a jednak prawdziwy: w teatrze „Ateneum", prowadzonym przez p. S. Jaracza, odegrano w ubiegłą sobotę „Zemstę" Fredry po raz pięćdziesiąty z rzędu. Zdarzenie to zastanawia tem więcej, że nie jest to sukces podtrzymywany sztucznie: piękna sala Związku Kolejarzy codziennie była zapełniona w ciągu pięćdziesięciu wieczorów.

Taki nagły jubileusz „Zemsty" zawiera w sobie dwa momenty: z jednej strony otrzymujemy świadectwo żywotności samego dzieła; z drugiej ogarnia nas uczucie wstydu za... Teatr Narodowy. Od dwóch lat zapanowało tam przekonanie, że Fredro już się przeżył, że go wystawiać nie można i nie należy. Zamiast Fredry i Słowackiego, dawano w teatrze, otrzymującym na każde przedstawienie około 2.000 zł. subsydjum miejskiego, różne „Wyprawy podbiegunowe". Miejmy nadzieję, że powodzenie „Zemsty" w „Ateneum" przypomni kierownikom teatru Narodowego o obowiązku tworzenia żelaznego repertuaru. Niema go dotychczas zupełnie. Nawet widowiska dla młodzieży trzeba kombinować z „bieżącego repertuaru" współczesnego. Żądamy niewiele: dwóch polskich sztuk z dawnego repertuaru rocznie; jednej komedji i jednego dramatu. Po latach powstanie tą drogą jaki taki repertuar stały, który stanowić będzie jedyną rację mianowania teatru Narodowym. Komedja Fran-

Trzech znakomitych wykonawców roli Pakotina w sztuce J. A. Hertza p.t. „Młody Las"



AL. ZELWEROWICZ



KAZ. JUNOSZA-STĘPOWSKI

Fot. J. Malarski



KAZIMIERZ JUSTJAN

cuska zdolna jest dziś wystawić 145 sztuk w sezonie ze swego żelaznego repertuaru; przy naszych skromniejszych zasobach pragnęlibyśmy dojść po pięciu latach do 10-ciu utworów klasyków polskich, grywanych w teatrze Narodowym według pewnego planu, obmyślonego krytycznie.

Czyż to jest naprawdę niemożliwe?

(el)

„KRÓL NIKODEM"

Znany powieściopisarz, p. Ferd. Goetel, i niemniej znany artysta-malarz p. Rafał Malczewski napisali społem groteskę p. t. „Król Nikodem", której prapremjera odbyła się w ubiegły piątek we Lwowie. Autorzy, jak się zdaje, chcieli napisać satyrę na temat uroku, jaki na współczesnej ludzkości (?) wywiera władza monarsza. Król nigdy nie może rządzić sam, musi mu dopomagać kurtyzana (?). Najlepszym królem wobec tych tęsknot będzie król-automat, a obok niego — nierządnica, właściwy władca narodu, „jego wola kierowcza i siła witalna". Nie dziw, że przy takich przesłankach ideowych „złośliwy śmiech Goetla i Malczewskiego, jak stwierdza jeden z lwowskich krytyków, załamał się w beznadziejności". „Pokazali chaos społeczny, stworzyli chaos na scenie". Ten drugi został jeszcze spotęgowany przez reżysera, p. Wacława Radulskiego, znanego ze swych prób w Warszawie. Groteska, zrzadka tylko połyskująca dowcipem, zamieniła się „w ponure, makabryczne widowisko".

ZABIEGI NIEMIECKIE O SYMPATJE FRANCUSKIE

Zdarzają się dość dziwne rzeczy, których nawet Ben Akiba nie przewidział. Mimo wystąpień p. Treviranusa, mimo wyraźnie wrogiej i wojowniczej polityki Hitlera, — równocześnie w dalszym ciągu pewien odłam radykalnych intelektualistów francuskich nie przestaje nawiązywać bliższych stosunków z Berlinem. Teraz znów p. Lenormand dla prapremjery swej nowej sztuki „Elżbieta, królowa Angielska" wybrał teatr Lessinga w Berlinie. Sztuka była niedbale wystawiona i słabo grana. Spotkała się też z krytyką wcale złośliwą. Czy warto było narażać się na to przyjęcie?

Wzamian p. Bruckner, autor głośnych „Zbrodniarzy", prapremjerę swojej nowej sztuki, która ma być osnuta również na temacie elżbietańskim, ofiarował teatrowi p. Pitojeffa w Paryżu. Jak daleko pójdzie ta wymiana uprzejmości?...

NOWA SZTUKA P. SAVOIR'A

P. Savoir wystawił nową komedję w paryskim teatrze Antoine'a. Tytuł: „Mała Katarzyna" (Petite Cattérine). Bohaterką jest Katarzyna II w okresie swej młodości. Nie jest to sztuka historyczna: p. Savoir sam wyparł się tego zamiaru, niczem śmiertelnego grzechu. P. Savoir'a pociągnęła możność wydrwienia caratu i wyzyskania drastycznych efektów. Rzecz jest napisana zręcznie i z rozmachem, brutalnie i bez delikatniejszego smaku. Publiczności paryskiej przypadła do gustu.

„KS. JÓZEF PONIATOWSKI", DRAMAT J. A. HERTZA NA SCENIE TEATRU NOWEGO W POZNANIU



WYKONAWCY: J. WĘGRZYN (KS. JÓZEF) I P. ŻEROMSKA (HR. JULJA POTOCKA)

„Zmierzch wielkiego aktora"

Pod tym znamiennym tytułem wydał niedawno bardzo zajmującą książkę o teatrze Silvio D'Amico.

Kto to jest Silvio D'Amico? — zapyta niezawodnie niejeden z czytelników!

Otóż jest to jeden z najwybitniejszych, a właściwie najwybitniejszy i najgłębszy znawca współczesnego teatru w Italji! Jako recenzent poczytnego dziennika rzymskiego: „Tribuna", zyskał D'Amico ogromną popularność w najszerszych warstwach społeczeństwa i jest uważany za wyrocznię w sprawach teatralnych i teatralno-literackich.



SILVIO D'AMICO

Dr. D'Amico, człowiek o gruntownem i głębokiem wykształceniu filozoficznem ze szkoły Crocego i Gentilego, posiada dużą znajomość literatury dramatycznej włoskiej i europejskiej, zdrowy, trzeźwy sąd o dzisiejszym, jakoteż o dawnym teatrze. Odnosi się on do obecnego stanu teatru włoskiego — powiedziałabym — z życzliwym krytycyzmem! Tego wykwintnego znawcę teatru cechuje przedewszystkiem ogromny takt przy wrodzonym, świetnym talencie polemicznym, dobre wychowanie w słowie i piśmie i duża, bardzo duża kultura literacka i życiowa.

Nie było zatem trudno o uzyskanie kwadransa miłej rozmowy z owym „bogiem teatralnym" włoskim.

Rozpoczęliśmy naszą pogawędkę towarzysko-zawodową oczywiście od piekącej obecnie sprawy przesilenia teatralnego.

— „Odkąd istniał teatr" — zaczął D'Amico swoje ciekawe wywody — „była mowa zawsze o przesileniu teatru i o jego upadku! Już za Aischilosa był to problem aktualny, Arystofanes narzekał również na upadek teatru. Podobnie później za czasów rzymskich narzekano na komedje Terencjusza w porównaniu z komedjami Plauta. Zdarzyło się nawet pewnego razu tak, że widzowie opuścili tłumnie teatr na przedstawieniu jednej z komedji Terencjusza, woląc pójść popatrzeć na linoskoczka.

— Nie inaczej jest dziś — dorzuca z miłym uśmiechem mój rozmówca — publiczność przenosi w wielu wypadkach zabawy sportowe ponad artystyczne przedstawienia teatralne!

— Wyrzekania na upadek teatru nie ustawały — ciągnie dalej D'Amico — przez całe wieki średnie, nie ustawały w czasach renesansu, ani w epoce Shakespeara, ani Moliera, ani Goldoniego. Nie ustawały nawet w czasie wielkiego rozkwitu teatru francuskiego w drugiej połowie wieku dziewiętnastego! Zawsze narzekano i zawsze było niezadowolenie! I mnóstwo wydano dzieł w Anglji, w Niemczech, w Italji a nawet we Francji z narzekaniami na upadek teatru!

— Jakiż stąd wniosek? — pytam świetnego krytyka.

— Mojem zdaniem — powiada z namysłem D'Amico — przesilenie jest ogólnem prawem życiowem, każdy organizm żywy podlega ustawicznej ewolucji i to jest właśnie dowodem jego żywotności! Nie jest to zatem problem nowy i nie należy skutkiem tego być złych myśli!

— Jakież jest pańskie zdanie o obecnym teatrze?

— Sprawę tę należy rozpatrywać z dwuch punktów widzenia — powiada D'Amico — ze strony produkcji dramatycznej i wykonania teatralnego. I rozwodząc się obszernie nad twórczością dramatyczną europejską ostatnich czasów, stwierdził Silvio D'Amico, że trudno właściwie mówić o jakimś upadku w tej dziedzinie w chwili, w której żyje tylu wybitnych autorów dramatycznych w tylu krajach Europy i w Ameryce. Tu wymienił długi zastęp żyjących znanych autorów różnych narodowości prócz polskiej, bo nie postarano się dotychczas jeszcze z naszej strony o to, by wprowadzić na sceny zagraniczne nasze sztuki, które w niejednym wypadku mogłyby śmiało pójść w zawody z utworami cudzoziemskiemi.

D'Amico podkreśla równocześnie w produkcji dramatycznej najnowszych czasów objaw — jak twierdzi — niebezpieczny, ponieważ autorzy przestali tworzyć dla szerokich mas! Sztuki ich o charakterze intymnym raczej, kameralnym nadają się dla niewielkiej garstki wybranych i tu należy częściowo — jego zdaniem — szukać przyczyny utraty popularności teatru u szerokiej publiczności.

Wielce ciekawe uwagi autora „Zmierzchu wielkiego aktora" o teatrze włoskim specjalnie rozpatrzymy następnym razem. Dziś chcemy się ograniczyć do uwag świetnego krytyka o teatrze wogóle.

Z kolei przeszliśmy do wykonania teatralnego!

— Tu tkwi bolączka teatru włoskiego — powiada ze smutkiem Silvio D'Amico! A owo zło zaczęło się od chwili zmiany pojęć, co to jest właściwie teatr! Gdy przed trzydziestu laty mówiono o dobrym teatrze, miano zawsze na myśli aktora. Była to Eleonora Duse, czy Sara Bernhardt, czy Lucien Guttry, czy Tommaso Salvini, czy Ernesto Rossi, czy tylu innych. Wtedy to Italja była u szczytu, posiadając może najlepszych aktorów w Europie. Po zupełnej zmianie pojęć, kiedy duszą teatru jest właściwie reżyser: Stanisławski, Reinhardt, Antoine, Copeau, czy inny, Italja straciła swój dawny splendor, nie posiadając właściwie ani jednego wybitnego reżysera. W wielkiej mierze należy szukać winy w wadliwej organizacji wędrownego teatru włoskiego. Wykluczone jest bowiem odpowiednie opracowanie sztuki, przemyślenie jej i staranne wystawienie. Tym problemem zajmę się obszerniej następnym razem przy omawianiu teatru włoskiego w szczególności!

Dziś chciałabym tylko zaznaczyć, że właśnie owa wadliwa organizacja teatru włoskiego, w takim pozostająca rozdźwięku z nowoczesnemi wymaganiami teatralnemi, nie pozwala ani na należyte dojście do słowa reżysera, którego zresztą brak zasadniczo w tutejszym teatrze, ani na rozwinięcie się indywidualności aktorskich — stąd właśnie „zmierzch wielkiego aktora".

Na moje zapytanie, czy sztuki polskie miałyby widoki powodzenia w Italji, odrzekł D'Amico mile i kurtuazyjnie, że poszukuje się stale sztuk nowych, celem odświeżenia repertuaru, tem chętniej zatem przyjętoby sztuki narodu, z którym łączą naród włoski odwieczne wzajemne stosunki przyjacielskie!

Franciszka Szyłmanówna

Z żałobnej karty

D. 20 sierpnia zmarła ś. p. Marja Górska, wybitna polonistka, córka znakomitego pedagoga i dyrektora gimnazjum Wojciecha Górskiego. Przygotowana naukowo, zaczęła pracę swą nauczycielską w ośmioklasowej szkole humanistycznej swego ojca w r. 1908.

Idąc za radą ojca, po ukończeniu pensji studjowała nauki przyrodnicze zagranicą w Geisenheimie nad Renem i w Klostenburgu koło Wiednia. Potem zapragnąwszy kształcić się w kierunku pedagogicznym, wstąpiła na Polonistykę w Akademji w Krakowie, gdzie po czterech latach studjów złożyła świadectwo absolwentki. Nie poprzestając na tem, z chwilą otwarcia Instytutu Pedagogicznego w Warszawie kształci się dalej i chlubnie kończy studja.



Ś. P. MARJA GÓRSKA

Jako nauczycielka pracowała w szkole swego ojca do kwietnia r. b.

Najbliższa powierniczka myśli swego ojca, współdziałała w rozległej jego pracy na polu pedagogicznem.

Kochając swój zawód i młodzież całem sercem, umiała trafiać do ich umysłów, szerząc nietylko piękno form językowych ale i ducha polskości.

Wysoko utrzymywała poziom nauki i wychowania.

Skromna i rozgłosu nie pragnąca, oszczędna dla siebie, potrafiła być pocichu hojną dla innych. Serdecznie przywiązana do rodziny, miłość swą doprowadzała do poświęcenia i zaparcia się. Śmierć Jej okryła żałobą sędziwego ojca, liczną rodzinę i umiłowane gimnazjum, a w sferach pedagogicznych wywołała głęboki i szczery żal.

ZE ŚWIATA.

1) KORONACJA NEGUSA ABISYNJI RASA TAFARI, ODBYŁA SIĘ DN. 2. XI. W STOLICY ADIDIS ABEBA. 2) DZIECI KRÓLEWSKIEJ PARY ETJOPSKIEJ: OD PRAWEJ KS. MAKONNEN, NASTĘPCA TRONU KSIĄŻE ASFAON-WASSEN, KSIĘŻNICZKA ZAHAI, I CÓRKA GUBERNATORA HARARU. 3) OTWARCIE IZBY LORDÓW W LONDYNIE: REPREZENTANCI INDJI MAHARADŻOWIE BIKANIR, KASHMIR I BARODA. 4) SUŁTAN JOHORE, JEDEN Z BOGATSZYCH LUDZI ŚWIATA OŻENIŁ SIĘ Z AMERYKANKĄ HELENA WILSON, CÓRKA LEKARZA. ŚLUB ODBYŁ SIĘ WEDŁUG RYTUAŁU MAHOMETAŃSKIEGO.



1



2

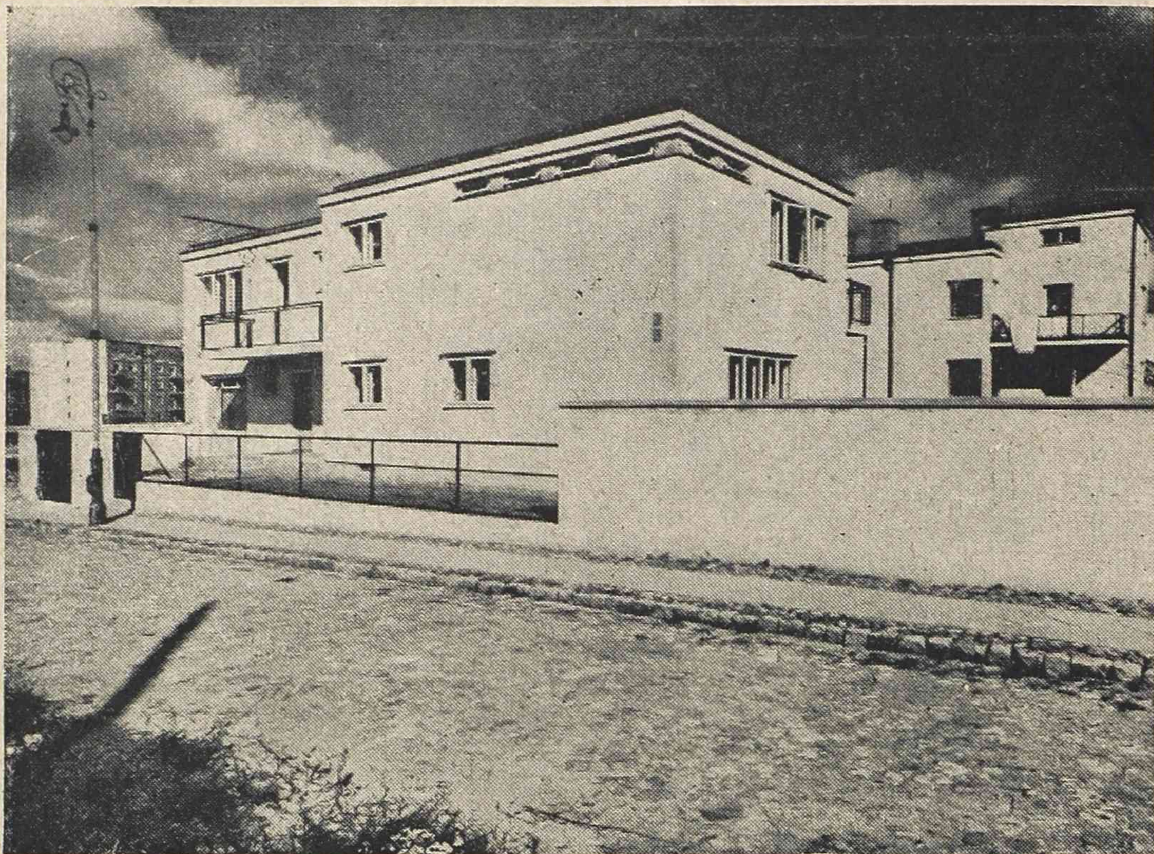


3



4

F. LILPOPÓWNA



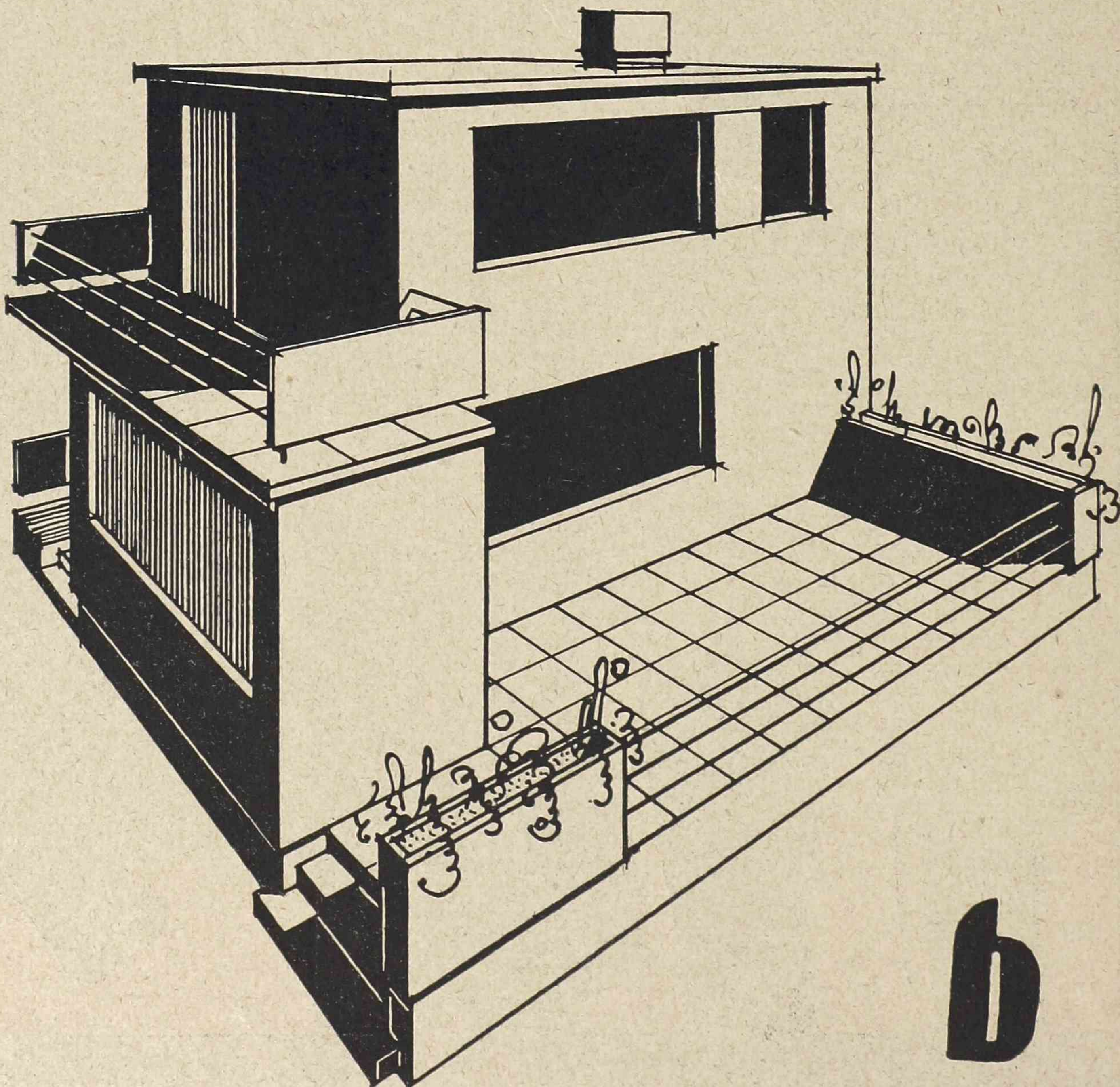
Dom jednorodzinny na Żoliborzu (arch. Niny i Józefa Jankowskich)

DOM JEDNORODZINNY

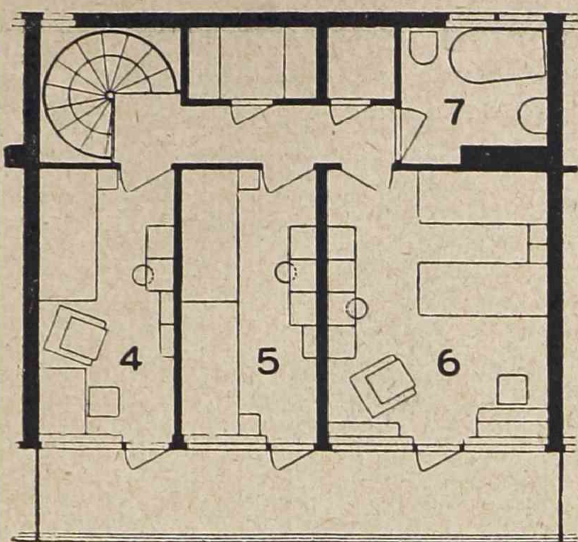
Zagadnienie mieszkaniowe jest, niewątpliwie, jednym z najważniejszych problemów chwili bieżącej. Zwłaszcza w Polsce, gdzie ciągle jeszcze setki i tysiące rodzin walczą z wysiłkiem o zdobycie dachu nad głową, gdzie kulturalny człowiek nieraz gnieździć się musi w najmniej odpowiedniem środowisku, gdzie zapominamy już o wygodach i przyjemnościach mieszkania, zadawalniając się samym faktem mieszkania. Ale nawet twarda rzeczywistość nie może zabić w nas myśli o możliwości poprawy istniejących stosunków, tęsknoty za ich odmianą na lepsze. Śledzimy drogi rozwojowe budownictwa mieszkaniowego zagranicą, usiłujemy dociec, dlaczego ta czy inna reforma nie może być zrealizowana na polskim terenie. I raz po raz pojawiają się nowe projekty, wskazujące takie lub inne drogi w zakresie zarówno możliwości finansowych, jak nowych pomysłów budowlanych i technicznych. Ale najlepsze projekty niewiele pomogą, jeżeli nie zeŚrodkujemy naszych wysiłków w celu ich zrealizowania, jeżeli nie wzbudzimy w sobie chęci i woli osiągnięcia celu.

Propagandę w tym właśnie kierunku prowadzi już od roku z górą miesięcznik „Dom — Osiedle — Mieszkanie", wychodzący pod redakcją Józefa Jankowskiego, Szczęsnego Rutkowskiego i Teodora Toeplitza. Pismo porusza na swoich łamach w artykułach pierwszorzędnych fachowych piór szereg spraw z dziedziny rozbudowy, roztrząsa te i inne problemy z teoretycznego i praktycznego punktu widzenia, przytacza przykłady zagranicy i podkreśla zwłaszcza te wzory, które możnaby naśladować na naszym terenie, informuje o nowych metodach budowlanych, propaguje mieszkanie najwłaściwsze w danych okolicznościach dla danej rodziny. Każdy zeszyt jest bogato ilustrowany reprodukcjami budynków polskich i zagranicznych, projektami, planami itp.

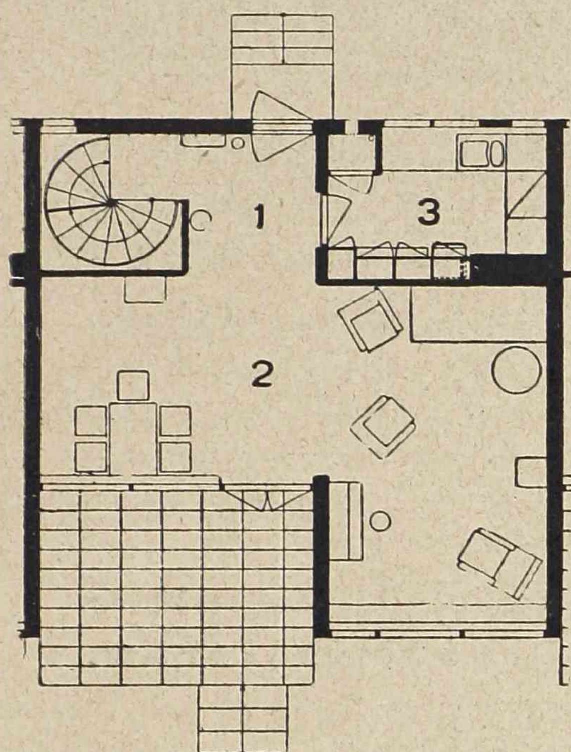
Ostatni swój numer (11) poświęca „Dom — Osiedle — Mieszkanie" niemal w całości domowi jednorodzinnemu, a treść zawartych w nim artykułów jest tak interesująca, że warto poznać ją bardziej szczegółowo. Szukając najtańszego i najprędszego rozwiązania problemu mieszkaniowego — wywodzi p. T. Toeplitz — widzimy je przedewszystkiem w budowie wielkich domów zbiorowych. Dno nędzy mieszkaniowej przesłania nam zagadnienie najlepszego, najzdrowszego, najmilszego mieszkania, jakiem jest naprawdę tylko dom jednorodzinny, dom z ogródkiem, gdzie starzec znajduje swe ostatnie, dziecko swe pierwsze umiłowanie. Taki dom jednorodzinny, budowany w mieście w sposób zwarty, na peryferjach lub w osiedlu podmiejskiem jako dom bliźniaczy albo wolnostojący, nie musi być koniecznie droższy od mieszkania w domu zbiorowym. Autor podkreśla, że niemiecki zjazd budowlany w 1925 r. stwierdził w sposób, nie ulegający wątpliwości, że mieszkanie w domu jednorodzinnym nie jest droższe od mieszkania w domu koszarowym. Gdyby zaś nawet przypuścić, że będzie ono nieco droższe, to — i tak należałoby się zastanowić, czy w interesie gospodarstwa społecznego nie leży ten zwiększony wydatek. Słusznie też zaznacza autor, że zastosowanie racjonalnej budowy domów jednorodzinnych, a przedewszystkiem masowe budownictwo domów z części znormalizowanych pozwoli na znaczne ich potanienie. Najlepszym dowodem tego jest rozpowszechnienie do-



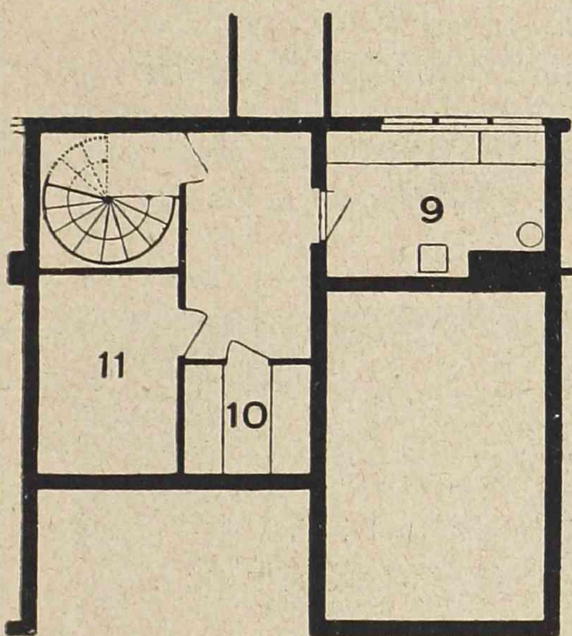
Dom wolnostojący, projekt arch. Heleny i Szymona Syrkusów



Piętro



Parter



Piwnica

Rozplanowanie domu piętrowego jednorodzinnego, wedle projektu arch. Uno Ahrena (z wystawy w Sztokholmie).

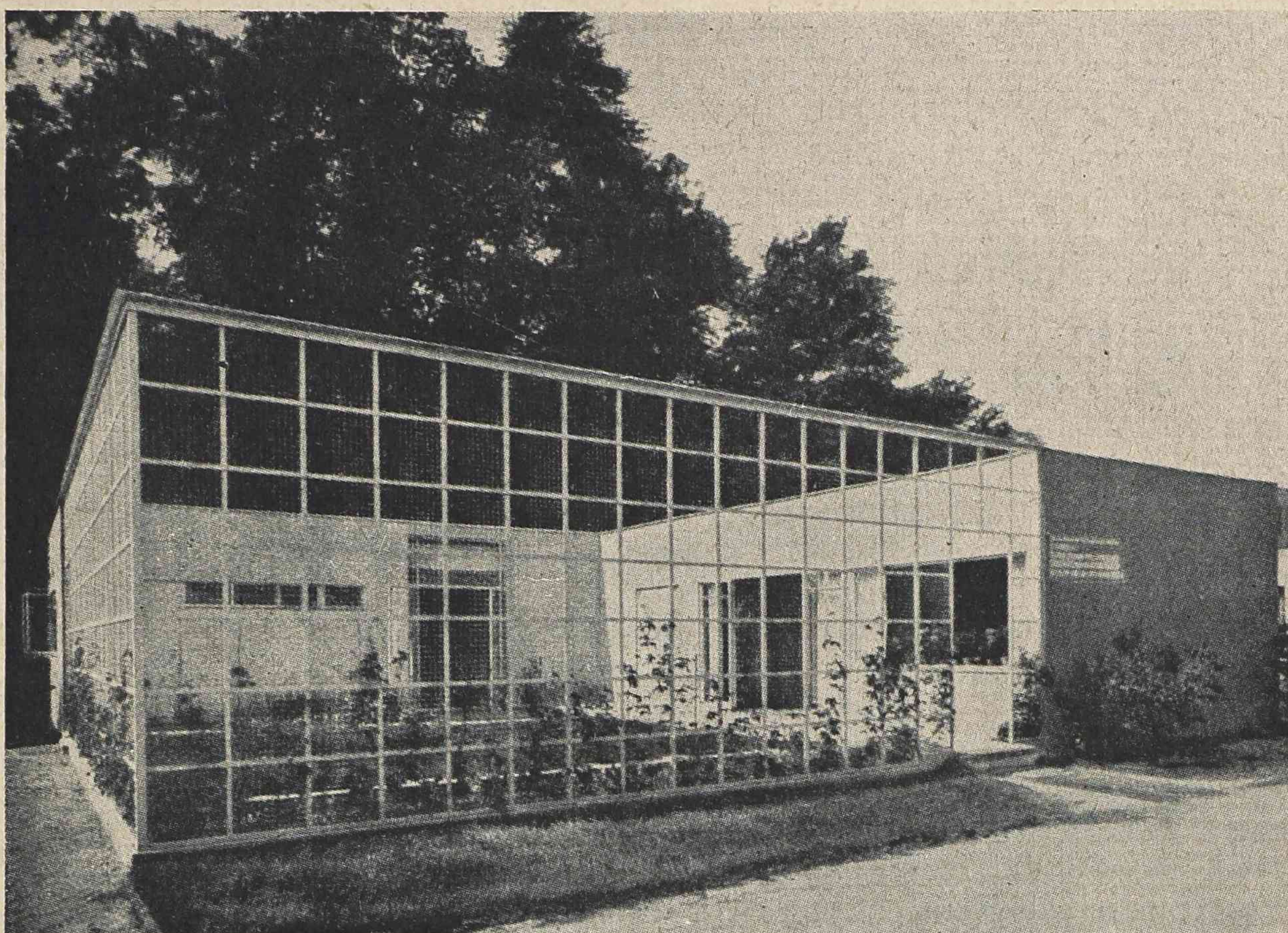
Na parterze: przedpokój (1), kuchenka (3) oraz duży pokój (2) z podcieniem, z którego wyjście do ogrodu.

Na 1 piętrze: 3 sypialnie (4, 5, 6) na 4 łóżka, łazienka z klozetem (7) i 2 szafy 2 pokoje sypialne, wyjście na wspólny balkon.

W piwnicy pralnia (9), śpiżarnia (10) i piwniczka (11).

Kubatura domu 340 m³.

Pow. zabudowana 61,50 m².



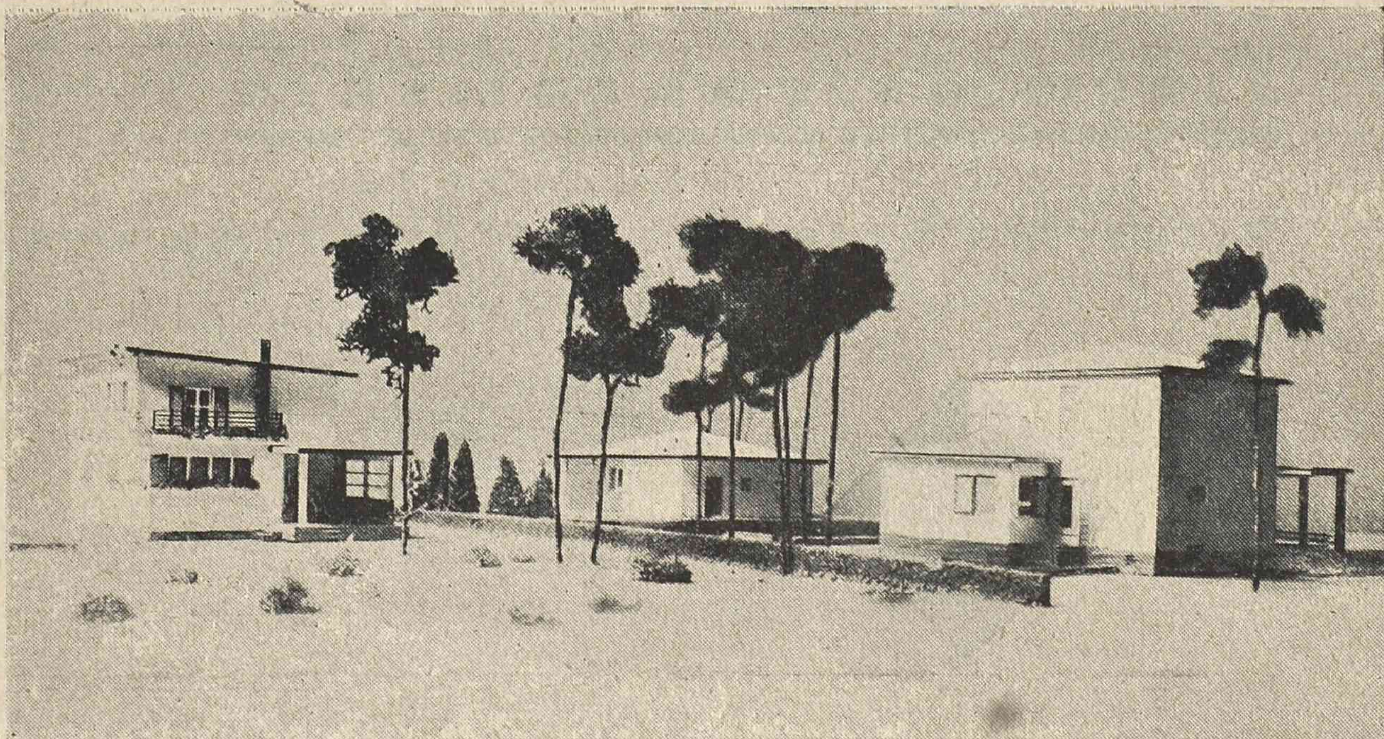
Dom jednorodzinny, wedle proj. arch. H. Richtera, na międzynarodowej wystawie hygjeny w Dreznie

mu jednorodzinnego w Stanach Zjednoczonych a także w Anglji, Holandji i gdzieindziej.

Teoretyczne wywody p. T. Toeplitza rozwija dalej, już w praktycznem zastosowaniu szereg artykułów, zawartych w tym samym numerze. A więc architekci Helena i Szymon Syrkusowie podają szczegółowy opis trzech typów wolnostojącego domu jednorodzinnego dla większej lub mniejszej rodziny, zbudowanego na konstrukcyjnym szkielecie żelaznym z lekkiego betonu komórkowego lub z cegły dziurawki. Konstrukcja i podział mieszkania uwzględnia jego zasadnicze funkcje, a więc gospodarcze, jedzenia, dziennego przebywania i spania i do tego dostosowuje wymiary, kształt, położenie względem stron świata, wzajemną komunikację względnie izolację. — Jako typowy i klasyczny dom jednorodzinny, już istniejący, zreprodukowano na łamach miesięcznika dom na Żoliborzu, zbudowany wedle projektu arch. Niny i Józefa Jankowskich, dając elewację zewnętrzną, fragmenty poszczególnych ubikacji, oraz szczegółowe rozplanowanie parteru i piętra.

Bardzo interesujące typy domów jednorodzinnych zaczerpnięto dla ilustracji z wystawy w Sztokholmie, z międzynarodowej wystawy hygjeny r. 1930 w Dreźnie, oraz z niedawnej wystawy w Berlinie, na której demonstrowano modele, fotografje i plany domów jednorodzinnych dla miast i wsi.

S.



Domki jednorodzinne, według projektu arch. Bda Bruno Ahrenda w Berlinie

Nowe premjum książkowe dla Prenumeratorów „ŚWIATA”.



Administracja „ŚWIATA”, nie szczędząc trudów, stara się zadośćuczynić życzeniom Prenumeratorów naszego pisma, by dostarczyć im po cenie przystępnej a obniżonej wartościowych książek. Już niejednokrotnie udostępniliśmy nabycie droższych, wartościowych dzieł po cenie niższej od katalogowej. Czyniliśmy to zupełnie bezinteresownie, za co otrzymaliśmy liczne podziękowania szczególnie ze strony abonentów prowincjonalnych. Doborowa lektura ma wielkie znaczenie dla utrzymania łączności z ośrodkami kultury europejskiej i polskiej.



Poniżej podajemy spis bogato ilustrowanych, ozdobnych wydawnictw albumowych, po cenie obniżonej do połowy dla Prenumeratorów.

Muzeum Książąt Czartoryskich
Opracował S. KOMORNICKI 316 ilustracji
Cena Zł. **12.50** w opr. **15.50** (zamiast **25** i **31** zł.)

Muzeum Narodowe w Warszawie
Opracował B. GEMBARZEWSKI 373 ilustracji
Cena Zł. **8.**— w opr. **10.50** (zamiast **16** i **21** zł.)

Muzeum Wielkopolskie w Poznaniu
Opracował M. GUMOWSKI 292 ilustracji
Cena Zł. **8.**— w opr. **10.50** (zamiast **16** i **21** zł.)

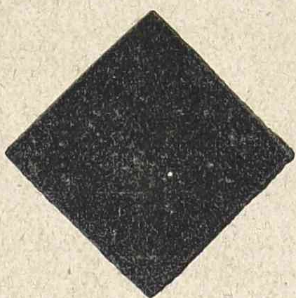
Zamek Królewski w Warszawie
Opracował A. KRÓL 96 ilustracji
Cena Zł. **8.**— w opr. **10.50** (zamiast **16** i **21** zł.)

A. MICKIEWICZ — POEZJE
Opracował prof. PIGOŃ. 4 tomy tylko w oprawie. Cena Zł. **20.**— (zamiast **32** zł.

Album Warszawy
Opracowali AL. JANOWSKI i ST. LEWICKI 50 ilustracji. Cena Zł. **4.**— (zamiast **8** zł.)

Album Ostrobramskie
Tekst M. LIMANOWSKIEGO. 20 zdjęć J. BUŁHAKA
Cena Zł. **1.**— (zamiast **2** zł.)

Przesyłka polecona jednego tomu wynosi od 1 zł. do 3 zł.



Wszystkie powyższe wydawnictwa polecamy z pełnem przekonaniem, są one nie tylko pod względem treści znakomitemi książkami, ale także pod względem graficznym, wykonania ilustracji i oprawy.

Szczególnie monografje muzeów, opracowane pod redakcją prof. Kopery, umożliwią dokładne zapoznanie się i na prowincji z mało znanemi przeważnie skarbami tych instytucji.

Ponieważ wydawnictw tych mamy tylko nieznaczną ilość do dyspozycji, prosimy o pospieszne zamówienie

Administracja „Świata”

Dwudziestopięciolecie szpitala Anny-Marji w Łodzi

Dr. Tadeusz Mogilnicki, dyrektor szpitala Anny - Marji w Łodzi z racji 25-lecia istnienia tej ważnej instytucji napisał ciekawą monografję, zawierającą tak historję powstania, jak i jej rozwój. Szpital ten powstał z ofiarności śp. Edwarda i Matyldy małżonków Herbstów. Myśl założenia szpitala dla dzieci rzucił dr. Karol Jonscher, znany działacz społeczny na terenie Łodzi. Zdobył on też pierwsze fundusze, które zasilone 200 tysiącami rubli małżonków Herbstów, pozwoliły na rychłą realizację.



Matylda Herbstowa

Szpital dla dzieci im. Anny - Marji w Łodzi rozpoczął funkcjonowanie w r. 1905. Znajduje się on na terenie między ulicami Rokicińską a Fabryczną. Posiada wszystkie niezbędne urządzenia lecznicze, przyczynił się wielce do podniesienia zdrowotności. Pierwszym naczelnym lekarzem był prof. dr. Józef Brudziński. Jemu zawdzięcza ten szpital znakomitą organizację. Trzeba podnieść też naukową działalność lekarzy tego szpitala. Ogłosili oni drukiem 166 prac, pozatem na miesięcznych zebraniach referowano liczne kwestje naukowo-medyczne.

U AUTORA „MESSALINY“

Leo Belmont, ongiś redaktor „Wolnego słowa“, niezależny i przekorny publicysta, rozpoczął swoją działalność pisarską od poezji. W r. 1884 wydrukował poemacik pt. „Rozżalona“ w czasopiśmie „Świt“. Na czele tego perjodyku stała znakomita poetka, ś. p. Marja Konopnicka. Leo Belmont miał wtedy lat 19. W 21 roku życia napisał powieść p. t. „W wieku nerwowym“, którą tak W. Feldman, jak A. Brückner zaliczyli do forpoczt nowego kierunku, psychologicznego, w tej dziedzinie twórczości. Leo Belmont dał się też poznać, jako tłomacz. Szczególnie jego przekład poematu A. Puszkina p. t. „Oniegin“ wzbudził duży zachwyt. Włoski slavista Logatto nazwał Belmonta „kongenialnym Puszkinowi“. Obecnie tłomacz „Oniegina“ liczy już 65 lat życia; działalność jego jednak wzmogła się, jest on najprodukcyjniejszym pisarzem współczesnym. Wystarczy zaznaczyć, że przez ostatnie pięć lat L. Belmont napisał 37 powieści. W tej liczbie 12 oryginalnych!

— Zadziwiające, że pan potrafi tak intensywnie, wydajnie pracować... wyrażamy uznanie.

L. Belmont przyjmuje to do wiadomości bez specjalnego wzruszenia. Tłomaczy:

— Niech pan zważy, że piszę nieraz po 16 godzin na dobę! Praca idzie więc powoli. Zastanawiam się nad każdem słowem. Pamiętam później doskonale niemal każde napisane przezemnie zdanie. Jeżeli pan chce, możemy zrobić próbę: przeczyta mi pan zdanie z której z moich książek, a powiem natychmiast, skąd je pan wziął?...

— Ma pan doskonałą pamięć?...

— Raczej niezłą. Pomaga mi ona w tworzeniu. Pozwala na wykonanie olbrzymich prac w stosunkowo krótkim czasie. W 1927 r., bawiąc w „Marjańskiej Puszczy, napisałem w 40 dni 41 arkuszy (3 tomy) historycznej powieści p. t. „Pani Dubarry“. „Panią Pompadour“, 15 arkuszy druku, napisałem w 10 dni... Powieść p. t. „Vetsera“ i „Tragedję Habsburgów“ zrealizowałem w dwa miesiące...

— Jest to chyba rekord pracowitości...

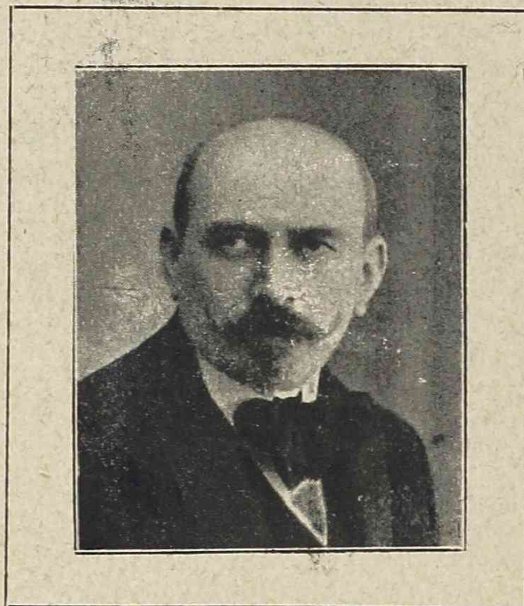
— O ile się doda, że pracuję bez zaniedbań. Nie piszę na kolanie. Do każdego utworu studjuję obszerną, źródłową literaturę.

— Jak pan potrafi jednak to robić?

— Niech pan zważy, że mam wprawę i doświadczenie 46-letniej pracy pisarskiej!... Teraz w dwa miesiące napisałem dwutomową (50 arkuszy!) powieść p. t. „Messalina“. Odchorowałem ją. Zwaliłem się do łóżka na tydzień. Nie żałuję jednak i tego, bo leżąc mam czas na czytanie, przygotowywanie materjału do następnych utworów.

— Korzysta pan też zapewne i z bogatych swoich doświadczeń adwokackich?

— Wydałem w swoim czasie 4 romanse kryminalne: „Sprawa przy drzwiach zamkniętych“, „Pomiędzy sądem i sumieniem“, „Djablica“, „Konieczność, przypadek i wolna wola“. Utwory te osnułem na tle wydarzeń sądowych z praktyki adwokackiej w Petersburgu. Ukazały się one już w trzeciem wydaniu.



LEO BELMONT

— Praktykował pan przecież i w Warszawie...

— I owszem. Mam cenne wspomnienia. Ściągnąłem kilkunastu „politycznych przestępców“ ze stryczka. Ani jednego wyroku śmierci nie mam do zanotowania na swojem obrończem sumieniu. Teraz nie praktykuję. Przełożyłem gabinet literata ponad kancelarję adwokacką. Jak pan wie zapewne, bywałem również nauczycielem prawa, ekonomji politycznej. Napisałem podręcznik „Nauki handlu“, jestem też autorem „Socjalizmu i Sprawiedliwości“, przełożyłem Simlowską „Filozofję pieniądza“...

— Ileż pan dziedzin obejmuje swojemi zainteresowaniami!

— To nie wszystko. Napisałem też scenarjusz filmowy pt. „Testament Kościuszki“. Do pracy tej przestudjowałem 40 książek. Film ten nie jest jeszcze zrealizowany. Domyśla się pan, że z przyczyn odemnie niezależnych, to jest z braku gotówki.

— Niemożliwe. Należałoby przypuszczać, że jest pan bardzo zamożnym człowiekiem. Taki ogrom pracy musiał dać panu poważne dochody...

L. Belmont przy tem pytaniu melancholijnie uśmiechnął się. Jest on przecież urzędnikiem kontraktowym Ministerstwa Robót Publicznych, referentem wydziału prawno - administracyjnego. Fakt ten mówi sam za siebie! Chciałem więc pominąć drażliwą sprawę honorarjów, dochodów autorskich. Belmont uśmiechnął się jednak tajemniczo i dodał:

— Zna pan przysłowie: w domu autora nie mówi się o honorarjach?

— No, to spotykały pana za to inne honory...

— Cieszyłem się przyjaźnią takich znakomitych polaków, jak Wacław Nałkowski, Ignacy Rudliński, Baudouin de Courtenay. To podtrzymywało mnie w życiu. Do honorów zaliczyć też muszę pięciokrotne więzienie za czasów okupacji rosyjskiej. Nazywano mnie wtedy „inspektorem więzień“. Opisywałem bowiem każde moje zamknięcie, a to wywoływało popłoch wśród urzędników, sądowników, policji.

— Ma pan za sobą duży dorobek pisarski, co też jest niemałą satysfakcją...

— Osiemdziesiąt tomów! Gdyby jednak policzyć wszystko, co wyprodukowałem, należałoby może powiedzieć: sto pięćdziesiąt tomów... Było to „nadużycie pracy“ z mojej strony. Przyznawać się do tego nie wypada za życia. Fakt podobny przebaczono dopiero po śmierci J. I. Kraszewskiemu.

NN.



ZGON WYBITNEGO ARTYSTY



St. Knake-Zawadzki, wybitny artysta dramatyczny, zmarł w 72 roku życia w Warszawie. Należał on do zespołu artystów Teatru Narodowego i krakowskiego. Wyróżnił się w wielkim repertuarze, jako odtwórca ról dramatycznych. Grywał też z powodzeniem role amantów bohaterskich

ZEGAREK

Zegarek, który lat temu pięćdziesiąt był przedmiotem zbytku, stał się dziś artykułem pierwszej potrzeby. W związku z tem powstały i powstają nadal coraz nowe wytwórnie tanich, masowo produkowanych zegarków, których ceny dostępne są dla każdej kieszeni.

Gdyby jednak — w miarę powstawania nowych przedsiębiorstw i rozrostu produkcji maszynowych zegarków — nie obniżał się ich poziom, wszystko byłoby w zupełnym porządku. Niestety — jest wręcz przeciwnie. Zegarki są wprawdzie coraz tańsze, ale i coraz lichsze.

Każdy, komu zależy na dokładności zegarka i na otrzymaniu prawdziwej gwarancji i taniej konserwacji, woli kupić zegarek droższy, ale pierwszorzędnej marki i w pierwszorzędnej firmie.

Dlatego też—mimo przeżywanego kryzysu — znana w stolicy, od r. 1789 egzystująca firma L. M. Lilpop cieszy się nieprzerwanie najwyższem uznaniem i powodzeniem licznej klijenteli.




Parę zdjęć ze świetnej operetki francuskiej, w której główną rolę odtworzy niezrównana Liljan Harvey. Film ten będzie niewątpliwie jednym z „gwoździ" sezonu

Szlakiem dziesiątej muzy

Już powodzenie „Nebezpiecznego romansu", który od dwóch tygodni zapełnia publicznością dwa kinoteatry: „Filharmonję" i „Pola Negri Palace", stwierdziło, że publiczność nasza nietylko nie stroni od obrazów produkcji krajowej, lecz przeciwnie — nawet do słabszych filmów odnosi się życzliwie.

Po „Niebezpiecznym romansie" — drugi obraz produkcji krajowej („Kineton - Sfinks", czyli pp. Finkelstein i Libkow), zatytułowany „Na Sybir", może liczyć na równe powodzenie. Film jest patrjotyczny. Zachowano konieczny umiar i ustrzeżono się fałszywego patosu, pod względem technicznym widoczny jest duży postęp. Jest to najlepszy film p. Henryka Szary, który rozpoczął swoją karjerę w Warszawie przy boku niżej podpisanego i M. Zudara w teatrze „Stańczyka", gdzie wystawił „Szkołę gwiazd" Jewreinowa; — byłem też tym, który skierował Szarę na drogę filmu, współpracowałem z nim przy realizacji „Czerwonego błazna", „Zewu morza" i „Przedwiośnia". Tembardziej więc cieszę się, że mogę wyrazić na tem miejscu radość, jaka mnie ogarnęła, gdym zobaczył rzetelną i sumienną robotę reżyserską „Sybiru". Drobne usterki filmu giną w dobrej całości, usterki nie reżyserskie zresztą, a raczej aktorskie. Wszyscy bowiem aktorzy grają w tym filmie poprawnie, ale to i owo dałoby się jeszcze wzmocnić. Smosarskiej naprzykład braknie ciepła, zamało ma sentymentu. Na afiszu same dobre nazwiska filmowe: Samborski, Adam Brodzisz, Bodo i — jedno nowe: Dworski (wcale dobry nabytek).

Sensacją i atrakcją niezwykłą będzie film Jana Kiepury „Śpiewające miasto", który niebawem ujrzymy w „Splendidzie". Odbyła się już uroczysta premjera tego filmu dźwiękowego „Neapol" Śpiewające Miasto, w którym rodak nasz, słynny tenor Jan Kiepura w towarzystwie Brygidy Helm odtwarza główną postać aktorsko i wokalnie. Obraz ten, jak donosi prasa berlińska i londyńska, wywołał w ubiegłym tygodniu ogromną sensację, a krytyka fachowa ustaliła jego wysokie wartości, tak pod względem tematycznym, pejzażowym, jak i dźwiękowym. Jan Kiepura tembardziej jeszcze interesuje publiczność polską, że śpiewa nie tylko po angielsku i włosku, ale także i pieśń Jana Galla p. t. „Barkarola", po polsku.

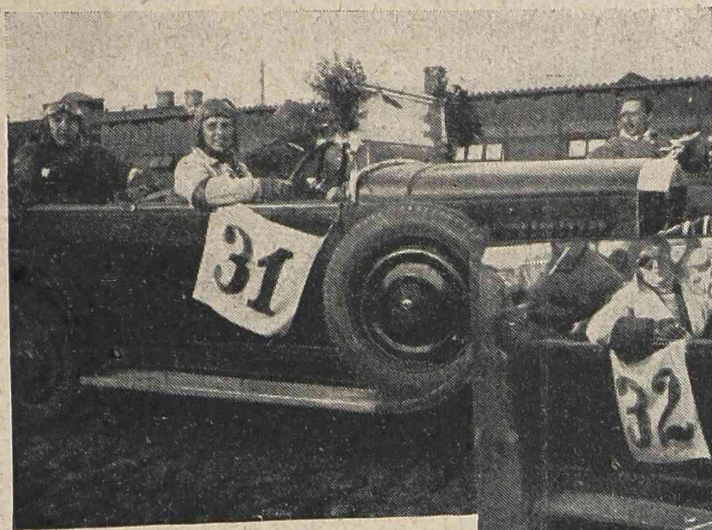
Komitet Organizacyjny, który się specjalnie zawiązał, aby dać wyraz zrozumieniu społeczeństwa, jak wielkie znaczenie posiada udział Kiepury w filmie międzynarodowym, zaprosił na tę premjerę najwyższych dostojników Państwa.

W „Majesticu" wyświetlany jest obecnie interesujący film „Kajdany namiętności" (temat: odmłodzenie starego finansisty, który zakochał się w młodej dziewczynie, coś jakby „Faust" zmodernizowany), a w „Palace" odniósł sukces „Naszyjnik królowej" (na tle głośnego romansu Al. Dumasa).

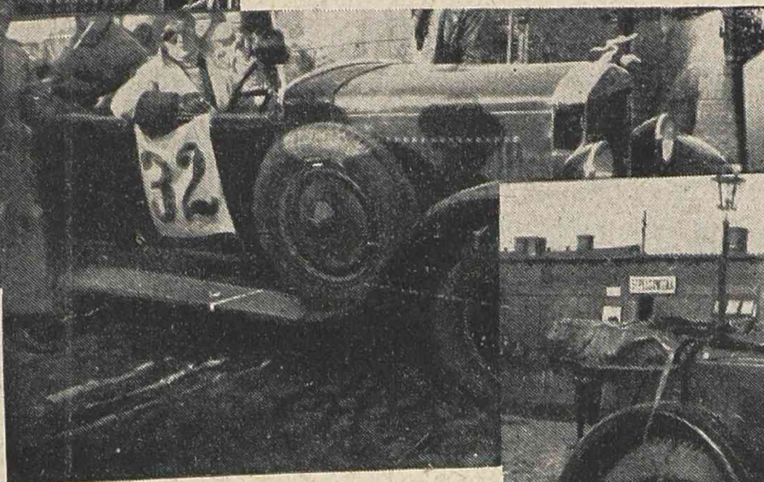
Tadeusz Kończyc

NASZYJNIK KRÓLOWEJ, po dziewięciomiesięcznych zmaganiach z cenzurą, pojawił się wreszcie na ekranie „Palace". Jest to niewątpliwie najpiękniejszy, najbardziej artystyczny film francuski ostatniego sezonu. Doskonale zbudowany scenarjusz zaczerpnięty został ze znanej w całym świecie powieści Al. Dumas'a ojca. Gra artystów jest niezrównana. Reżyserja znakomita. I takiej urody kobiecej na ekranie nie widziano może nigdy! Szkoda tylko, że wskutek ustępstw, jakie musiano uczynić, jasność i wymowa napisów zostały cokolwiek skażone. Podkreślić należy jeszcze prześliczną ilustrację muzyczną tego obrazu.

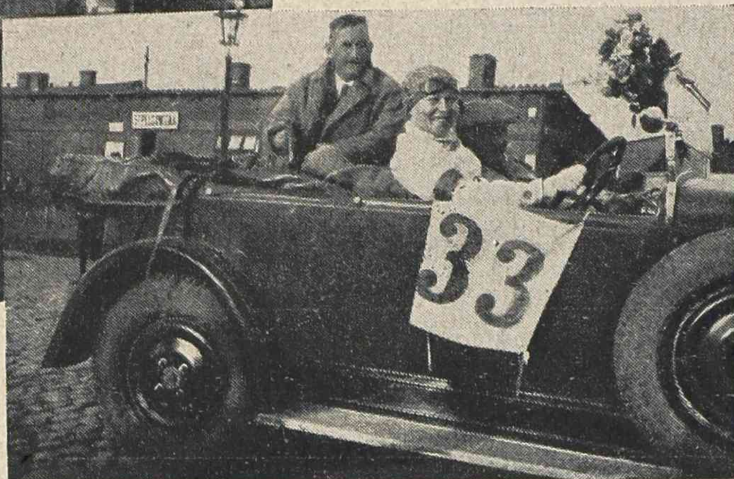
Zwycięski zespół samochodów „Oświęcim-Praga", który zdobył puhar w czasie ostatniego raidu damskiego



P. J. SKARBEK-TŁUCHOWSKA



P. H. TOEPFER



P. R. ŚLIWIŃSKA

Niebezpieczeństwa pory jesiennej

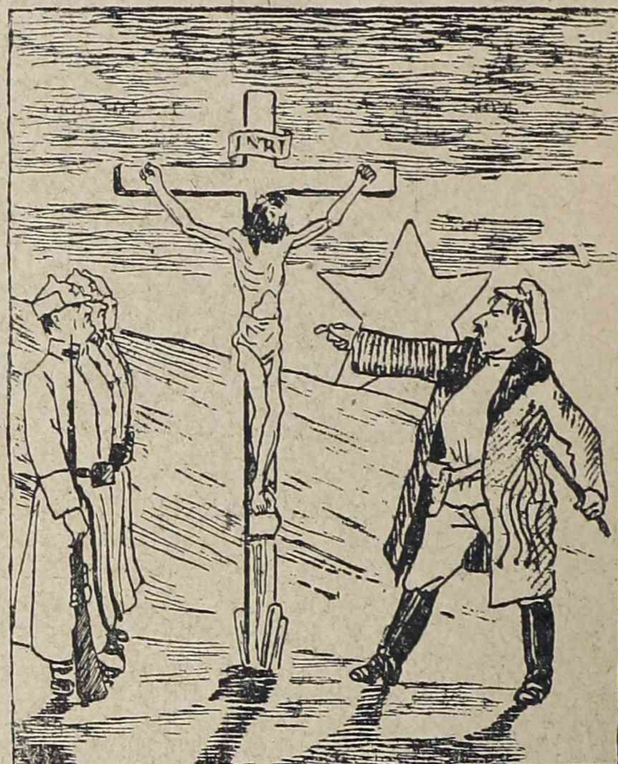
Tak piękne wydają się złote dnie jesienne, a tak zdradliwe jest ich przejście w dnie smutne, deszczowe i chłodne. Zmienna pogoda jesienna nietylko działa przygnębiająco na człowieka, ale i przyczynia się do tak przykrych i częstych zaziębień. Jeden dostaje nagle silnego kataru, inny znowu dreszczy z oznakami grypy. Niektórzy skarżą się na złe samopoczucie, a innym łamanie w kończynach przypomina o ich reumatyzmie. — Aby móc wszystkim tym niebezpieczeństwom, grożącym nam zwłaszcza w obecnej porze jesiennej, skutecznie zapobiec, należy mieć zawsze w domu lub w kieszeni prawdziwe tabletki Aspirin. Oryginalne tabletki Aspirin (ze znakiem ochronnym w postaci napisu Bayer na każdem opakowaniu i na każdej tabletce) są do nabycia we wszystkich aptekach.

HUMOR



Z posiedzenia Ligi Narodów w Genewie.

Pp. Briand i Zaleski ratują Pan-Europę z toni. („Mucha")



STALIN. — Pamiętajcie, że to jest kontr-rewolucjonista!

(Humoristicke Listy, Praga)



W domowem ognisku.

Jesienne manewry, czyli... powrót mamy.

„Mucha"

Przechodzień: — *Macie tu 5 centów, dobry człowieku. Nieszczęście to być kulawym. Pomyślcie jednak, o ile gorzej być ślepym.*

Żebrak: — *Pewnie, że gorzej. Kiedy byłem ślepy, zawsze mi wtykali fałszywe pieniądze.*

(Chicago Phoenix).

*

— *Powiedział mi pan, doktorze, że po użyciu tych tabletek kaszel minie. Tymczasem kaszlę, jak przedtem.*

— *Niemożliwe. To napewno już nowy kaszel.*

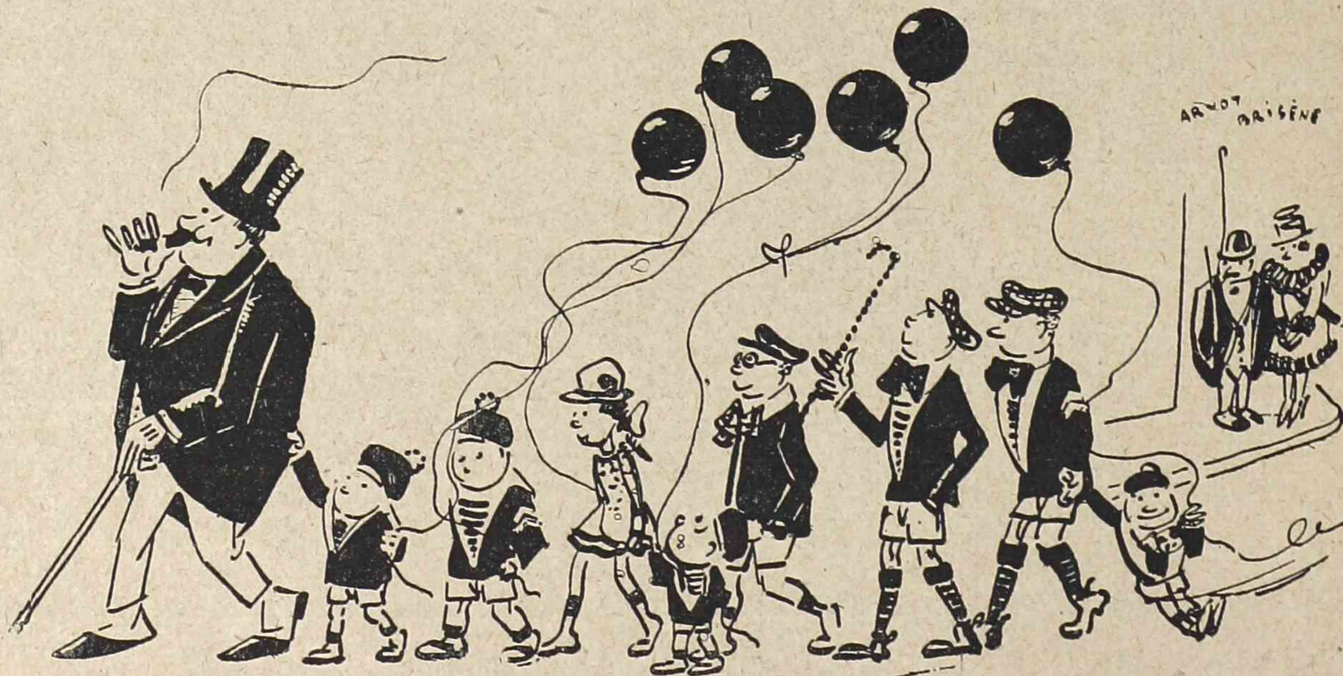
(Fantasio).

*



Z „DOWCIPÓW" NIEMIECKICH O POLSCE.

FRANCJA do BRIANDA: — Niech pan zaaresztuje tego nieznośnego Treviranusa, który obraził moją przyjaciółkę Polskę.



— Kto to taki?

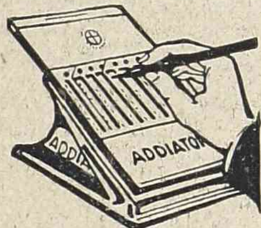
— To znany przemysłowiec X, który uznaje tylko wytwórczość seryjną. (Le Rire)

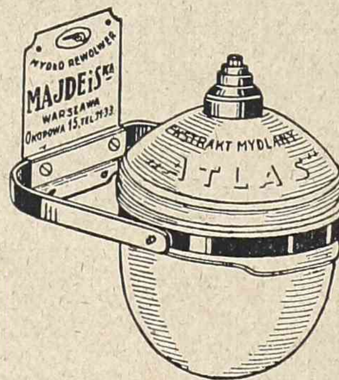












OD ADMINISTRACJI

UPRASZAMY SZ. NASZYCH PRENUMERATORÓW O ŁASKAWE WPŁACENIE ZALEGŁEJ PRENUMERATY. PRZYPOMINAMY, ŻE CZAS ODNOWIĆ PRENUMERATĘ NA LISTOPAD R. B.

REKLAMA JEST DUSZĄ HANDLU

PRENUMERATĘ „ŚWIATA" PRZYJMUJĄ:
W WARSZAWIE: Administracja „ŚWIATA"
SZPITALNA 12. Telef.: Administracji 504-00 i 501-51
Konto czekowe P. K. O. 3755
ORAZ WSZYSTKIE WIĘKSZE KSIĘGARNIE

W ŁODZI: Biuro dzienników i ogłoszeń „Promień", Piotrkowska 81. Księgarnia „Czytaj", Narutowicza 2. Księgarnia Ludwika Fiszera, ul. Piotrkowska 47. W KATOWICACH: Księgarnia Ludwika Fiszera, Poprzeczna 1. We LWOWIE: Oddział Tow. „Ruch". POZNAŃ: ul. Gwarna 16. Centrala Gazet L. Robowska. **CENY PRENUMERATY: w Warszawie** odbiór na miejscu miesięcznie 5.— zł., z odnoszeniem do domu 5.50 zł., na prowincji miesięcz. 6 — zł. kwartalnie 18.— zł. Zagranicą miesięcznie 8.—zł.

Cena numeru w Warszawie, na prowincji i na wszystkich dworcach kolejowych **1 zł. 40 gr.**

Redaktor odpowiedzialny *St. Krzywoszewski*
Druk. Galewski i Dau, Warszawa